

ZDZISŁAW GRODECKI

Wyprawa Wołodyjowskiego na kresy

POWIEŚĆ

Odznaczona na konkursie literackim „Przewodnika Katolickiego”
w Poznaniu w r. 1928.



L W Ó W 1929.
NAKŁADEM „LWOWSKIEGO KURJERA PORANNEGO”.

5323

**Wyprawa Wołodyjowskiego
na kresy**

Wydawnictwo W. W. W. W. W.
W. W. W. W. W. W. W.

Czcionkami drukarni „Kresowej“, Lwów Zimorowicza 14.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 80 / 201 4 CM

W y p r a w a
Wołodzyjowskiego
n a k r e s y
POWIEŚĆ

**Odznaczona na konkursie literackim „Przewodnika
Katolickiego“ w Poznaniu w r. 1928.**

N a p i s a ł
ZDZISŁAW GRODECKI



Kolekcja
Emila Kornasia

L W Ó W 1 9 2 9.
Nakładem „Lwowskiego Kurjera Porannego“.

Ważniejsze omyłki druku.

Strona	6	zamiast	„doniósł“	ma być	odniósł.
„	7	„	„zabwimy się“	„	„zabawimy się.
„	7	„	„meczem“	„	„mieczem.
„	9	„	„bratankowie“	„	„barankowie.
„	9	„	„niech ich tam“	„	„niech tam
„	9	„	„nas...wali“	„	„nas tam rachowali
„	9	„	„żc...“	„	„że taka wola boża
„	10	„	„czyść“	„	„czyścica.
„	10	„	„wielu“	„	„wiele
„	11	„	„kuli“	„	„kuligi
„	12	„	„... choćby“	„	„i choćby
„	13	„	„ugaszon“	„	„ugaszono.
„	14	„	„kilkunsstu“	„	„kilkunastu.
„	14	„	„Zagłoba sam“	„	„Zagłoba sum.
„	14	„	„nazwisko“	„	„nazwiska.
„	17	„	„w r. 1924—5“	„	„w r. 1923—4.
„	17	„	„podobne“	„	„podobne.
„	17	„	„policją“	„	„policję.
„	18	„	„bezdozników“	„	„bezbożników.
„	18	„	„polach“	„	„palach.
„	19	„	„oddziały“	„	„oddziały.
„	19	„	„z dobytą“	„	„zdobytą
„	21	„	„pole“	„	„pale.
„	22	„	„przebiegał“	„	„przebiegał.
„	22	„	„mówił“	„	„mówili.
„	22	„	„czynili“	„	„uczynili
„	23	„	„z innym“	„	„z innymi.
„	23	„	„padłogę“	„	„podłogę.
„	29	„	„sprawozdanie“	„	„sprawozdania.
„	34	„	„baraszkował“	„	„baraszkował.
„	41	„	„Leip“	„	„Leib.
„	45	„	„zmarł“	„	„zamarł.
„	45	„	„afektu“	„	„afekt u.
„	45	„	„skrupulatny“	„	„skrupuletem.
„	46	„	„Pograniczne“	„	„Pogranicze.
„	47	„	„w materji“	„	„w tej materji.
„	47	„	„w tem sensie“	„	„w tym sensie.
„	48	„	„w obieży“	„	„w obierzy
„	48	„	„w kozuch u osumiastych	„	„w kozuchu o sumia-
„	49	„	„chołoty“	„	„stych wąsach
„	50	„	„opatrzy się w broń“	„	„hołoty.
„	50	„	„poprowadzi“	„	„opatrzy się i porwie za
„	50	„	„przecinać drogę druty“	„	„broń.
„	50	„	„Kmicica“	„	„poprowadzi.
„	53	„	„Zagończy“	„	„Za słupami graniczne-
„	53	„	„Sokoka“	„	„mi znaczyć mi drogę,
„	53	„	„pochulać“	„	„przecinać druty“ idt.
„	54	„	„prusaków“	„	„Kmicica.
„	54	„	„wió“	„	„Zagończycy
„	56	„	„ruszali“	„	„Soroka.
„	56	„	„Aisurmany“	„	„pohulać.
				„	„psubratów.
				„	„wióry.
				„	„rozruszali.
				„	„Bisurmany.

ROZDZIAŁ I.

Dochodzą mnie słuchy, że w tej naszej nowej Rzeczypospolitej niedobrze się dzieje — mówił król Jan III. do Wołodjowskiego, sławnego niegdyś zagończyka i „Hektora kamienieckiego”. Niema dnia, aby z kresów ktoś nie żalił się, że ich tam jakieś bandy bolszewickie napadają, palą i mordują gorzej Tatarów. Ale jakież to bandy — jak słyszę — w sto, dwieście ludzi, nawet koni nie mają jeno dopiero rabują i to bandy Moskwicinów, przezwananych teraz bolszewikami!

Toć za naszych czasów szły watahy tatarskie z wiosną każdego roku, nie w sto ani w dwieście koni, ale w dziesiątki tysięcy a wystarczyło naszych dwa, trzy tysiące, aby to tatałajstwo w proch rozbić i za dziesiątą górę przepędzić.

Ponoć w tej nowej Rzeczypospolitej więcej jest wojska czasu pokoju, aniżeli my mieli, gdyśmy szli na Wiedeń, dziwno mi więc, dlaczego rady dać sobie nie mogą i tak ciągle lamentują.

Wezwałem Cię, mój miły rycerzyku, aby z Tobą w tej materji pomówić i jakoweś auxilia dla tych niebożąt obmyślić.

Na te słowa Wołodjowskiemu aż oczy zaświeciły z radości i ręka spoczęła na szabelce. Gdyby rozkaz — wyrzekł — to choćby na ochotnika godziwą rzeczą byłoby skoczyć z pomocą.

Tak, tak — mówił król, chodząc wielkimi krokami — trzeba, ale nie zapominajmy, żeśmy już wszyscy na niebieskim żołdzie i w wiekuistym królestwie, zacniejszem od wszelkich królestw całego świata i nie godzi się tak ciągle molestować

Pana w ziemskich sprawach, i wtrącać się do nich, bo On sam wie najlepiej, co czynić. I tak już krzyczą głośno różne nacje, że Polacy to nawet w niebieskiem królestwie nie mogą o swej Rzeczypospolitej zapomnieć i radziby się za Nią bić. Co tu było krzyku, jak wysłałem niedawno cichaczem Jeremiego z kilkoma regimentami pod Warszawę na pomoc przeciw tym psu bratom bolszewikom. Nie nadarmo tam w Rzeczypospolitej ogłosili to jako „cud nad Wisłą“ i po dziś dzień sprzeczą się, kto doniósł zwycięstwo,

Mamci ja cichą permisję od niebieskiego klucznika na sześć niedziel dla tysiąca ludzi w celu ukarania tych bezbożników, ale pod ciężkimi kondycjami.

Primo musi się uczynić tę wyprawę w wielkiej cichości, aby o niej nikt nie wiedział, secundo — nie może nikt zginąć na niej ziemską śmiercią, bo wy tam nie jako duchy jakoweś niebieskie, ale jako śmiertelni ludzie walczyć będziecie.

Jeśli przyjmiesz te kondycje, obejmiesz komendę i poprowadzisz ekspedycję na kresy.

Miłościwy Panie! wykrzyknął ucieszony Wołodyjowski — kondycje ciężkie, ale nie przechodzą sił ludzkich, boć to nie wojna, jeno obława. Wedle sił moich spełnię o chotnie Twój rozkaz!

A kiedy mam ruszyć?

Choćby zaraz, ale radzę nie spiesz się, dobierz sobie udzi statecznych, a nie paliwodów wyjdź cicho, ostrożnie, dopiero w drodze w skok a tam w Rzeczypospolitej na kresach równie nie daj znać po sobie, skąd przybywasz, i z czyjego rozkazu. Masz sześć niedziel czasu i spraw się dobrze, nasz miły rycerzyku, Niech Cię Patronka nasza, Królowa Korony Polskiej prowadził

To mówiąc, król łaskawie uściśnął głowę Wołodyjowskiei pożegnał.

Wołodyjowski wyszedłszy od Króla był tak wesół i uradowany, że aż pogwizdywał z radości, mówiąc do siebie: Tysiąc ludzi toć to siła, z którą dużo można uczynić i nietylko kresy całe oczyścić, ale i w głąb nieprzyjacielskiego kraju zapuścić się i pohulać jak ongiś na Dzikich Polach z Tatarami. Taka wyprawa toć tyle, co dobry kulig w zapusty. Trochę za mało sześć niedziel, bo jedna niedziela tam, druga z powro-

tem i ledwie cztery zostanie do roboty, aleć rozkaz rozkazem. Oj zabwimy się zabawimy! Bieda będzie tylko z ochotnikami, bo nie tysiąc jeden, ale sto tysięcy zechce zaraz jechać. Toć i moja Baśka będzie napierać się i dwaj moi bliźniacy synkowie, których mi dał Pan Jezus w nagrodę za obronę Kamieńca, wnet po mojej ziemskiej śmierci jako pogrobowców, i stary Zagłoba i Podbipięta i Skrzetuscy i Kmicie z synami i tylu, tylu innych.

Tak idąc, rachował i deliberował.

Wkrótce zebrał na radę swych zaufanych towarzyszy i przyjaciół zaprawionych w bojach i doświadczonych.

Stawili się wszyscy z ochotą i radością wielką. Był tam bohater zbaraski Jan Skrzetuski z 12-oma jak młode dębczaki synami, był niewinny jak dziecko a silny jak Herkules Longinus, Podbipięta ze swym strasliwym zerwikapturem, co to zginął pod Zbarażem, był Kmicie, ale nie ten dawny paliwoda, ale już stateczny starosta z Upity z pięcioma synami, choć utemperowany przez swą uмиłowaną Oleńkę, ale jeszcze straszny i dzikości pełen w boju, zjawił się również chytry jak Ulisses krotochwilny, stary Zagłoba, dzielny w boju i mądry w radzie, który pod Zbarażem usieknął sławnego atamana kozackiego Burłaja, przybył i jego przybrany siostrzan silny, jak tur — Roch Kowalski, co jako husarz zginął z ręki Radziwiłła w bitwie pod Warszawą, był również tak w życiu ziemskim nieśczęśliwy o żelaznej pięści młody Nowowiejski, który dopiero tutaj o swym bólu zapomniał i połączył się z ukochanymi. Przybyło nadto wielu doświadczonych pułkowników i rycerzy.

Gdy Wołodyjowski rzecz całą wyłożył, powstało wielkie gaudium wśród zebranych.

Pójdziemy na tych psu-bratów, co wojnę samemu Bogu wydali i nauczymy ich moresu! — krzyczeli wszyscy — Nie pomoże im ich antychryst, któremu służą, nie pomoże im Judasz z Karjotu, któremu pomniki stawiają! Ogniem i mieczem ukarać ich trzeba!

I ja choć stary pójdę z wami, bom jeszcze tego ścierwa bolszewickiego nie pokosztował — wołał Zagłoba.

Ot lepiejby ociec na przypiecku niebieskim siedział i różaniec odmawiał — wtrącił ktoś z obecnych.

Wuj pójdzie! ryknął na to Roch Kowalski i pięść groźnie wyciągnął.

Na przypiecek mię sadzają! skarżył się Zagłoba — siedźże acan sam, skoro się boisz! Pójdziemy Rochu! — Pójdziemy — Wuju!

Rozhowory i krzyki uciszył dopiero Wołodyjowski jako naczelny wódz tej wyprawy.

Po naradach podzielił swój hufiec na pięć chorągwi, każda po 200 ludzi, oddając komendę Podbipięcie, Nowowiejskiemu, Skrzetuskiemu i Zagłobie, a piątą sobie przeznaczając.

ROZDZIAŁ II.

Przed świtaniem małe gromadki rycerzy samoczwart i samopłat wymykały się przed furtę w całym rynsztunku bojowym i znikwały w rannych mgłach niebieskich jak duchy.

A gdzież to mili bratankowie tak do dnia spieszycie? pytał św. Piotr i rachował skrupulatnie.

Na kresy! Na dzieci Beliala! odpowiadali rycerze i znikali.

Tych ludzi toby i do piekieł zaprowadził, gdyby tam jeno była ich Rzeczypospolita! mruzczał staruszek do siebie i dalej rachował. Ale coś mi się widzi, że ich tam ponoć więcej wymknęło się, niż tysiąc, a niech ich tam — niebożęta trochę przewietrzą się i tych bezbożników pobiją, bo to już obraza boska dłużej to cierpieć.

A mówiłem naszemu Panu. Pozwól pokarać tych synów antychrysta, co rozpoczęli z Tobą wojnę i zniewagi Ci czynią, puść naszych polskich rycerzyków na nich! to Pan odrzekł: oni są jeno narzędziem kary za grzechy całego narodu ruskiego. Gdy ten naród nawróci się i zacznie czynić pokutę, zmiłuję się nad nim, a tamtych jego katów pobiję mieczem polskich wojowników, ale czas na to, bo miara nieprawości ich jeszcze się nie wypełniła a tamci o pokucie nie myślą.

Gdy tak deliberował niebieski klucznik, Wołodyjowski tymczasem sprawiał szyk bojowy, ustanawiał dowódców, dzielił na oddziały i rachował. I pokazało się, że zamiast jednego tysiąca przyszło półtora tysiąca a tych pięciuset to zwerbował sam Kmiecic, bo jak mówił, chce nie na kresach, ale poza kresami pohulać ze swoją watahą.

Gdy Wołodyjowski zżymał się i chciał ich wszystkich ako nadliczbowych wydalić, oparli się i prosili mówiąc: toć przecie nas wali przy bramie a jak puścili, to widać że

Po długich targach zostali wszyscy, ale ich Wołodujowski osobno oddzielił z Kmicicem i kazał ruszać na złamanie karku za taką niesubordynację, nie chcąc o nich nic wiedzieć.

Gdy Kmicic poczuł się wodzem całej tej watahy, złożonej z samych zabijaków, pamiętających jego sławne podchody na Chowańskiego, na Szwedów i innych wrogów, odezwała się w nim krew dawnego partyzanta, nieustraszonego w boju i nie liczącego nieprzyjaciół.

Cały oddział był godny swego wodza. Byli tam i hultaje Kiemlicze, i wierny Soroka mianowany setnikiem i straszni w boju jego wierni komilitoni z Hipocentaurusem na czele, którzy to swego czasu pobici przez Butrymów i do czyść na wieloletnie męki zesłani, wrócili niedawno jako pokorni barankowie. Ze wszystkich wojen co najgroźniejsi hultaje i z różnych zakątków Rzeczypospolitej — wszystko to skupiło się teraz koło Kmicica i ruszyło z kopyta.

Wołodujowski, puściwszy tę bandę Kmicica na złamanie karku, sam swój oddział podzielił na pięć chorągwi po dwieście ludzi każdy, oddawszy dowództwo Skrzetuskiemu, Podpięcie, Nowowiejskiemu i Zagłobie z nieodstępnym Rochem a sam stanął, na czele piątego. Otaczało go dwóch synów bliźniaków Jaremkę i Jaśko, podobnych doń jak dwie krople wody, ale nieco cięższych i wyższych, no i nieodstępna jego umiłowana, Baśka, przebrana po męsku.

Już to sobie ułożyłem — mówił Wołodujowski do swego otoczenia — iż my tam dla niepoznaki niby kulig zjedziemy a dobrze się składa, bo to zapusty i wszystkie bandy zetrzemy po kolei. Jakie to wojsko pożał się Boże! Znamy się, bo niedawno z ks. Jeremim Wiśniowieckim starliśmy ich pod Warszawą. W sam czas przybyliśmy, bo już był popłoch w stolicy niemały, i przepędziliśmy w mig tę hołotę.

Nie będziemy też mieli wielu do roboty i teraz.

Jechali więc radośni i promienni, śpiewając. „Witajcie jasne podwoje“.

Siódmego dnia przybyli nad samą wschodnią granicę Rzeczypospolitej na Polesie i tam w lasach spoczęli.

Dzięki Ci Panie! wołali, żeśmy znowu w Rzeczypospolitej, aleć to za naszych czasów inna była granica i obejmowała Kijów a gdzie tu do Kijowa?

Trzeba się nam rozdzielić — mówił Wołodyjowski — wzdłuż całej granicy. Podbipięta pójdzie na północ aż pod łotewską granicę, Nowowiejski starcie koło Stołb.ec, ja między Łunińcem a Mikaszewicami, Skrzetuscy między Sarnami a Snowidowiczami a Zagłoba z Rochem będzie się kręcił koło Podwołoczysk. Za dwie niedziele zdacie mi dokładne raporty a za cztery wszyscy zjedziecie się pod Łuniniec, bo musimy wracać.

Jak miarkuję, to te bandy są niewielkie, więc niechaj każdy w miarę potrzeby podzieli swój oddział i rozrzuci w różne punkty zagrożone, co i dla wyżywienia ludzi i koni będzie łatwiejsze.

Po tych instrukcjach wszyscy ruszyli na wyznaczone sobie stanowiska jako straszne kuli.

ROZDZIAŁ III.

Zagłoba z Rochem ruszyli wedle instrukcji na południe w okolice Podwołoczysk. Jechali pomału, ostrożnie, rozglądając się ciekawie po okolicy i wypatrując wszędzie bolszewików.

Ot strachy na Lachy — gwarzył starowina, narobili hałasu a nam zachciało się po raz drugi tłuc się po tym mizernym świecie i to o pustym żołądku.

Dopóki człek tam sobie w wiekuiestej szczęśliwości siedział, to juści, że rosa niebieska mu starczyła, ale teraz, jak jest z krwi i kości zdałaby się jaka misa jajecznicy z kiełbasą . choćby manierka gorzałki, bo mróz idzie po kościach.

Trzeba będzie się do jakiegoś dworu zakwaterować i co zjeść, bo my, ani konie nasze długo nie wytrzymają — dodał Roch Kowalski.

Mądre słowo wyrzekłeś Rochu, synu Rocha, wypatrujże teraz miasto bolszewików — dworu.

Wuju! — przerwał nagle Roch — tam łuna, pokazując palcem w kierunku południowym. Blisko to musi być, bo widać nawet kłęby dymu. Pewnie bolszewiki dwór podpalili i rabują.

Jazda! Cały oddział jak wichur pognął we wskazanym kierunku i wnet ukazał się płonący stóg słomy czy zboża a w blasku ognia widać było jakieś postacie, wyprowadzające bydło ze stajen, słysząc krzyk, zamieszanie i z rzadka padające strzały. Dwór sam stał na boku, jasno oświetlony, z którego na łeb na szyję wnoszono różne toboły i składano na wozach.

Ha psu braty! żydowskie parobki! ryknął Zagłoba i jak burza zwałił się na rabusiów.

W jednej chwili zakotłowało na majdanie i straszny jak grom okrzyk Rocha: bij! rozdarł powietrze. Nie trwało dłużej

Jak i dno „Zdrowaś” już nie było kogo bić, bo kilkunastu opryszków leżało pociętych mieczami i potratowanych kołnierzami.

Z koni i do dworu! ryknął Zagłoba, którego choć liczył już przeszło sto lat — ogarnął szal bojowy. W mig otoczono dwór, z którego okien poczęły się sypać gęsto strzały karabinowe i wylały granaty ręczne.

Bandyci mając do ucieczki zamkniętą drogę bronili się i drzwi zawarli.

Pomimo strzałów i granatów, pękły wnet podwoje i straszny kulig wpadł jak burza do środka z szablami.

Strzały ucichły. Rabusie poddali się.

Żywcem brać! — rozkazywał Zagłoba, więc poczęto wiązać opryszków.

Gdzie dziedzic, służba? pytał stary wódz.

W lochu, w stajniach! odpowiadali przerażeni jeńcy. Uwolniono wnet wszystkich, którzy znów z lękiem patrzyli na dziwne postacie swych obrońców przy karabelach i w kontuszach, jakby wyjęte ze starych obrazów.

Nie bójcie się, my w kuligu jedziem! uspokajał Zagłoba.

Chyba sam Bóg Was tu sprowadził, błogosławili uwolnieni.

Wnet zabrali się do znoszenia z powrotem zrabowanych rzeczy i do gaszenia pożaru.

Rezultatem walki było 20 opryszków zabitych i potratowanych a około 30 w łękach.

Co robić z jeńcami? zapytał Roch,

Obszukać, wziąć na spytki a potem na gałąź — kominderował wódz.

Po dobrej godzinie przyprowadzono dwór do jakiegoś takiego ładu i pożar ugaszony.

Zagłoba tymczasem sam badał jeńców, którzy zeznali, że bolszewicy wyszkolili ich, jako tzw. „bandy dywersyjne” za kordonem i za to płacili oprócz zdobyczy. Po zrabowaniu miały pójść z dymem wszystkie budynki folwarczne i sam dwór z ludźmi powiązanymi. Dwóch bandytów było z tej samej wsi jako przewodnicy.

Wedle rozkazu Zagłoby wszyscy niebawem zawisli na gałęzi.

Po załatwieniu tych „formalności“ Zagłoba w towarzystwie Rocha i kilkunsztu znaczniejszych poszli do dworu zaproszeni przez dziedziczkę.

Ach, komu mamy zawdzięczać nasze ocalenie? wołała młoda jeszcze gospodyni, pani Wrońska.

Kuligowi! Kuligowi! Mościa Pani Dobrodziejko.

Zagłoba sam — a to mój siostrzan Roch Kowalski — prezentował wódz.

Proszę! to przecież historyczne nazwisko!

Czy to może z tych Zagłobów i Rochów, o których pisał Sienkiewicz?

Tak, tak, z tych samych! potwierdził Zagłoba.

Zdumienie coraz większe malowało się na twarzach obecnych, którzy patrzyli na nich w milczeniu.

Zdaje nam się, że to jakiś straszny sen i zjawia cały ten napad i cudowne zaiste oswobodzenie a może to duchy tych rycerzy przyszły nam z pomocą — składając ręce jak do modlitwy — mówiła dziedziczka.

Duchy nie duchy, Mości Pani, ale dajże na miłość Bożą tym duchom co zjeść i wypić, bo nam kiszek już marsza grają a nasze niebożęta pacholiki gotowi swe konie zjeść.

Już, już zarządziłam, zaraz zasiadamy do stołu, a dla ludzi kazałam dać z gorzelni dwa antałki wódki, wynieść co jest kielbas, chlebów a nawet zabić kilka baranów i wieprzów.

Bóg zapłać, Bóg zapłać! powtórzył Zagłoba i usprawiedliwiał się — głodniemy jak wilcy, bo zdaleka jedziem.

Wnet zasiedli do stołów i poczęli głód zaspokajać. W czasie wieczery dowiedzieli się, iż właśnie były to imieniny samej dziedziczki, na które przybyło kilku sąsiadów z rodzinami i tu ich spotkał ten napad.

Zagłoba z towarzyszami nie dali się prosić i milcząc poczęli pochłaniać ku zdziwieniu reszty gości całe czombry sarnie i indyki, wypróżniając szybko półmiski i zakrapiając obficie wódką, którą nie kieliszkami, ale szklankami pili.

Po wieczery podano wino w filigramowych kieliszkach.

Ej Mościa Pani Dobrodziejko — prosił Zagłoba — a każde przynieść jakieś inne większe klelicy, boć temi naparstkami nie przystoi pić zdrowia.

Wydobyła więc właścicielka jeden staroświecki roztruchan i śmiejąc się postawiła przed Zagłobą a innym podała szklance, mówiąc pijcie drodzy goście, niech wam wyjdzie na zdrowie!

Ale po dwu kolejkach nie było już co pić i wina brakło. Kazała więc podawać herbatę.

Spróbował jeden i drugi i splunął z obrzydzeniem.

Dobrodziejko! to nam ziółka podajesz miasto miodu z wyrzutem mówił Zagłoba.

To herbata nie ziółka — usprawiedliwiała się gospodyni. U nas miodu nie używają.

Dziwne zwyczaje — mruknął Zagłoba.

I ma być dobrze w tej Rzeczypospolitej, skoro miodu już nie znają!

Na sucho więc prowadzili rozmowy o napadach i bandach, które trapią kresy.

To pocieszająca rzecz mówili, że właśnie w ostatnich dniach za kordonem powstało chłopstwo i morduje bez litości komisarzy bolszewickich. Właśnie najnowsze telegramy donoszą nam, iż banda chłopska pod wodzą jakiegoś Kmity pali i morduje bez litości.

Co to za Kmita? zapytał Zagłoba.

Niewiem — odparła gospodyni, — Oto tej treści telegramy w „Rzeczypospolitej“ z dnia dzisiejszego.

„W ostatnich dniach koło Mińska pojawiła się znaczna banda uzbrojonych chłopów, licząca około 1000 ludzi, którzy pod dowództwem jakiegoś Kmity napadają na posterunki bolszewickie, wycinają w pień i wieszają, a komisarzy wbijają na pal. Gdy która wieś stawia opór lub nie chce się z nim łączyć, puszcza ją z dymem“.

„Straszny popłoch szerzy się wokoło“.

„Wszystkie straże opuściły granice“.

„W Mińsku bolszewicy lada chwila spodziewają się napadu strasznego Kmity i na gwałt uchodzą. Banda ta, na dobrych koniach zaopatrzona jest w karabiny, kulomioty i granaty ręczne. Na pomoc wezwano kozaków z Budiennym na czele. Powstanie rozszerza się“.

To nasz Jędrak hula! Oj da on im łupnia! mruknął Zagłoba, i spojrzał znacząco na towarzyszy.

Może więc teraz trochę odetchniemy, dzięki temu Kmicie. Niech mu Pan Bóg błogosławi — mówili sąsiedzi. Już tak nam te bandy dopiekły, że się żyć nie chce i każdy, kto może ucieka choćby z życiem.

Jakto! pytali mali rycerze — dlaczego Rzeczpospolita nie wysłać wojska, bo podobno ma krocie? Dlaczego się sami nie bronić?

Jak nam wiadomo z gazet, to nie tylko, że nie chcą wojska wysłać, ale jeszcze są tacy ministrowie, którzy chcieliby nasze majątki rozdzielić pomiędzy tutejsze chłopstwo sprzyjające bolszewikom, aby je sobie przez to skaptować!

Gorze im! gorze tej nieszczęsnej Rzeczypospolitej! wykrzyknęli rycerze.

Jak mamy się bronić i czem, kiedy nawet trudno dostać karty na broń, a choć znajdzie się broń to i tak trudno obronić się, bo bandyci napadają znienacka, ot jak dzisiaj, gdyśmy właśnie wszyscy siedzieli przy podwieczorku wpadło ich trzech i przyłożyli nam lufy brauningów do piersi.

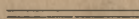
— A dwóch, trzech żandarmów, także nic nie poradzi!

Przyjechaliśmy naprzykład najspokojniej na imieniny sąsiadki i był napad, a czy jak wrócimy do siebie nie będzie znów napadu albo nawet w drodze, nie wiemy.

Czybyście Panowie nie mogli nam dać jakiej eskorty i trochę u nas zabawić?

Dobrze się składa — odrzekł Zagłoba — bo właśnie mieliśmy się rozdzielić i każdy z Waszmościów dostanie po 30 ludzi choć na kilka dni, reszta pójdzie dalej.

Zaraz rozdzielił cały zastęp na 6 oddziałów po 30 ludzi, naznaczył dowódców, dał instrukcje i wysłał z odjeżdżającymi, sam zaś z dwudziestoma został na usilne prośby właścicieli we dworze, mając przy boku swego siostrzana Rocha.



ROZDZIAŁ IV.

Zima w r. 1924—5 była lekka, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. W połowie października chwyciły nagle niewielkie mrozy, które trwały zaledwie kilka dni, a potem nastąpiła odwilż i ciepło przyszło takie, iż ludzie musieli na gwałt zrzucić kożuchy i zimowe okrycia. Zamiast listopadowej szarugi nastąpiła cudna polska jesień i prawdziwe babskie lato, a Boże Narodzenie podobne było raczej do Wielkanocy. Pęki drzew zaczęły puszczać, a poziomki drugi raz wydawać jagody. Na polach ludzie orali i siali oziminę, jakby we wrześniu.

Na niebie poczęły się ukazywać jakieś dziwne znaki, złe czy dobre niewiadomo, które ludzie jak zwykle tłumaczyli sobie jako zapowiedź nadzwyczajnych wypadków.

W styczniu i w lutym ozimina bujnie zeszła, a na pastwiskach trawa nie wiodła i nie nikła, lecz owszem jako ruń zielona okrywała je tak gęstym kobiercem, zwłaszcza do południa, że tu i ówdzie wypędzone bydło; które głośnami rykami zwiastowało wczesną wiosnę.

Jakiś przewrót powstawał w całej naturze, którego ani uczeni, ani prostaczkowie nie umieli wytłumaczyć, a które spowodowała jedynie chyba wola niebios, jakby dla ułatwienia ekspedycji naszych zagońcyków na kresy.

Ziemie te dawniej mlekiem i miodem opływające poczęły teraz rozlegać się od jęków mordowanych, błyskać krwawemi łunami podpalanych dworów i skarżyć się głośnami przekleństwami zrabowanych uchodźców.

Rzeczpospolita, choć miała krocie wojska stała na obronę policją, a tymczasem bandy bolszewickie rabowały, paliły i mordowały bezkarnie.

Ale przebrała się wreszcie miarka cierpliwości nie ludzkiej ale boskiej i zjawili się straszni mściciele nasi nagońcy a

wśród nich najstraszniejszy jako prawdziwy bicz boży ze swoją dziką watahą Kmicic.

Zjawił się — jak zapowiedział — nie w granicach Rzeczypospolitej, ale tuż za kordonem po stronie bolszewickiej i począł zaraz po swojemu hulać.

Oko za oko, ząb za ząb, powiedział sobie i za rabunki band po stronie polskiej odpowiedział rabunkiem mienia bolszewickiego, za mord niewinnych ofiar — wycinaniem w pień i wieszaniem komisarzy bolszewickich, za podpalanie polskich dworów, pożogą rządowych budynków. Dzika jego wataha szła od wsi do wsi jak huragan niepowstrzymany i niedawała żadnemu bolszewikowi pardonu. Miecz, stryczek, pal i ogień — to były jego jedyne paragrafy karne.

Oddziały bolszewickie otaczał i wycinał bez litości w pień, zdrajców i najmitów wieszał, a bolszewickich prowodyrów i komisarzy żydowskich wbijał na pal i puszczał z dymem budynki i mienie. Mieszkańców bez względu na narodowość i wyznanie oszczędzał i krzywdy nie czynił nikomu, chyba, że spotkał się ze zdradą i oporem. Wówczas nie znał litości, cała wieś szła z dymem, a mieszkańcy wybici do nogi.

Gdy wpadł do wsi robił krótki doraźny sąd nad wszelką hołotą bolszewicką, złożoną z komsomolców, bezdożników i naczelników, rozdzielając stryczek i pal. Potem szedł pod cerkiew lub kościół, gdzie z całą watahą padał na kolana i modlił się gorąco. Jeżeli świątynię znalazł pohańbioną, egzekucję odbywał obok niej. Prowodyrzy koło cerkwi konali na polach lub wisieli na stojących obok drzewach.

Chłopi widząc tę pobożność i straszne choć sprawiedliwe sądy bledli z przerażenia, padali na kolana i błagali o miłosierdzie nad sobą i swojami dziećmi wołając: Pomyłujcie Pane!

Za winy wasze i ojców waszych cierpicie i cierpieć będziecie — odpowiadał dopóki nie nawrócicie się i nie przebłagacie Boga. Widzę splugawione ołtarze pańskie, pohańbione niewiasty wasze, pomordowanych braci waszych a was wszystkich w strasznej niewoli, upodleniu i poniewierce niezdolnych nawet do podniesienia miecza.

Na hańbę całego świata podał was Pan w niewolę żydów niewiernych, których dziesiąte jeszcze Wasze pokolenie pamiętać będzie.

Jam tylko bicz boży, zesłany na krótko dla pokazania tym waszym katom i wam, że jest Bóg, który karze. Ale kara i na nich przyjdzie, gdy Pan zobaczy waszą pokutę i poprawę. Zmiłuje się wówczas nad wami i przyjdzie dzień tak strasznego sądu jakiego świat nie widział, im większe wasze pohańbienie, tem większa będzie pomsta Boża!

Hospody pomyśl! wołali jęcząc chłopci i prosili o przyjęcie do szeregów Kmicica.

Po kilku dniach groza padła na całą okolicę. Bolszewicy poczęli ściągać oddziały wojska uzbrojone w kulomioty i wysyłać przeciw groźnemu partyzantowi. Rozpoczęła się walka podjazdowa na śmierć i życie. Nie powstrzymało to wcale pochodu Kmicica, ale jego szybkość i rozmach nieco hamowało. Trzymał się teraz lasów, z których robił błyskawiczne wypadki i hulał po swojemu.

Każdy oddział wysłany przeciw niemu z góry skazany był na śmierć. Nie pomogły mu ani nowoczesne karabiny, ani liczba i bitność, bo spadał znienacka z furją szalejącej burzy, z dziką brawurą i z bojowym impetem w puch rozbił.

Szczęśliwy, kto zginął w ręcznym boju, bo wziętych do niewoli nie żywił, lecz wieszał na przydrożnych drzewach a komisarzy żydowskich wbijał swoim zwyczajem na pal.

Niszczył tory kolejowe, przecinał druty telefoniczne, palił ścinał i szedł ciągle naprzód zapamiętały i niebaczny na nic.

Jakąś nadludzką siłę i wytrzymałość miała ta dzika jego wataha w sobie, która choć ciągle była w ogniu, choć mało spoczywała, przecież nie tylko nie topniała, ale jeszcze rosła w siłę wskutek napływu ochotników, z których Kmicic tworzył karne oddziały uzbrojone w broń z zdobytą na bolszewikach i wysyłał je pod komendą swoich ludzi na bolszewickie oddziały.

Po dwóch tygodniach oczyścił gruntownie całą okolicę z robactwa bolszewickiego i ściągnawszy wszystkie swoje siły począł ostrożnie lasami zbliżać się pod Mińsk, gdzie skoncentrowane były główne siły bolszewickie i dokąd wkrótce miał przybyć ze swoimi kozakami ataman Budienny.

Przed przybyciem Budiennego chciał tymczasem zdobyć Mińsk, sprawić tam krwawą rzeź, i dostać w swoje ręce komisarzy wraz ze straszną czerezwycząjką, o której znęcaniu się nad ludnością miał jak najdokładniejsze relacje. Chociaż nie

miął do dyspozycji kolei ani telefonów, przecież wiedział o wszystkim dokładnie, bo ludność donosiła mu o każdym ruchu wojsk bolszewickich i wszelkich zarządzeniach władz. Aby uspić czujność bolszewików, zapadł w lasy i przez kilka dni nie dawał o sobie znaku życia.

Bolszewicy, którzy już gotowali się do opuszczenia Mińska odetchnęli i zostali, przypuszczając, że groźny Kmita gdzieś nad granicą hula. Tymczasem Kmicic okrążył lasami Mińsk i zamiast od zachodu pojawił się od wschodniej strony i rozłożył się wzdłuż głównej linii kolejowej, idącej z Mińska do Moskwy, skąd miały nadejść posiłki. Pierwszą czynnością było zniszczenie toru kolejowego i przecięcie wszystkich drutów, łączących Mińsk ze światem.

Po dokonaniu tego w nocy ostrożnie zbliżył się pod miasto, i znów czekał. Nagle jakby na dany znak w kilku punktach miasta powstał pożar który wśród silnego wiatru począł się gwałtownie rozszerzać a równocześnie straszliwy huk rozdarł powietrze.

W mieście powstała panika i zamieszanie.

Na to czekał Kmicic.

Nie upłynęło pół godziny a zjawił się wśród krwawego blasku pożaru jak straszny mściciel, jak prawdziwy bicz Boży, który spadł z niebios dla ukarania bezbożników.

Przerażone i uszalałe z trwogi oddziały bolszewickie zaskoczono we śnie słaby stawily opór, i szły jak owce pod nóż. Tu i ówdzie tylko bolszewicy zabarakadowali się w kamienicach i poczęli gęsto prażyć z okien naszych zagończyków.

Nie pomogło im to, bo przed furją napastników pękały szybko bramy i następowała rzeź bezpardonowa.

To nie ludzi, to wściekłe wilki napadły miasto! wołali, konając pod szablami.

W tym bojowym szale nie zapomniał jednak wódz o komisarzach i krwawej czerezwyczajce. Ci z jego rozkazu mieli być żywcem wzięci, bo dla nich były pale i szubienice przygotowane.

Blady świt został miasto w szalejącej wokół pożodze, pełne stosów trupów i zgłiszcz.

Przed oblicze wodza przyprowadzono kilkudziesięciu komisarzy i katów, z czerezwyczajki przeważnie żydów, którzy z głośnem lamentem zebrali o miłosierdzie i darowanie życia.

Popatrzył na nich z pogardą, splunął i wyrzekł: Za to coście uczynili biednemu ludowi, zginiecie w mękach.

Wśród strasznych krzyków, jęków i wrzasków rozpoczęła się krwawa egzekucja. Jednego po drugim wbijano na pal i te pale wkopywano na ulicy.

Wokoło huczał jeszcze pożar i oświeślał czerwonym blaskiem krwawe pole.

Nagle wśród oddziału Kmicica powstało poruszenie i poczęły się odzywać głosy: Budienny idzie!

Dobra nasza! wykrzyknął uradowany Kmicic. — Teraz musimy wyjść na jego spotkanie i przyjąć go godnie.

Nie upłynęło pół godziny a już cały oddział ruszył z kopyta.

ROZDZIAŁ V.

Wołodujowski ze swoim oddziałem ruszył od Łunińca wzdłuż toru kolejowego, kierując się ku granicy. Otaczali go dwaj dorodni synowie Jaśko i Jaremkó z żoną Baską i wielu znanych rycerzy z Kamieńca. Rycerze jechali powoli rozglądając się ciekawie po okolicy i wielce dziwując się wszystkiemu a zwłaszcza kolei.

Gdy bowiem pociąg przebiegał opodal wśród ciemności, sypał z komina czerwone iskry i sapał, żegnali się nabożnie patrząc nań, jakby na jakiego piekielnego smoka.

Dziwy prawdziwe teraz dzieją się na świecie — mówią rycerze bo ludzie czynili sobie jakoweś żelazne smoki, które żywią jeno ogniem a wodą i te smoki bez koni posłuszne pędzą na złamanie karku.

Podobno przez druty i bez drutów mówią z Warszawy do Wilna, Krakowa, Poznania i gdzie chcą a nawet jako ptacy latają w powietrzu.

Ale i sztukę wojenną wielce udoskonalili, dorzucił Wołodujowski bo mają takie samopały, co biją na pół mili raz za razem bez skałki i prochu i kulomioty, co sieją kule, jakby grochem siał a te ich harmaty, granaty, haubice to niosą na kilka mil i wszystko rozbijają. Widzieliśmy to pod Warszawą w r. 1920.

Przytem jednak wszystkim to dzisiejsze pokolenie biedne, nędzne, nieporadne i chuderlawe. Mają dużo ciekawych wynalazków, ale brak im ducha rycerskiego i odwagi, miasta ich świecą blaskiem i wspaniałością, ale nędza w nich mieszka i zepsucie.

Za naszych czasów nie chwalać się — lepiej było w tej Rzeczypospolitej, bo nie było takiej nędzy i takiego braku chleba jak dzisiaj.

A jakie to chłopcy aż przykro patrzeć! Gdzie tam u nich szukać siły, zdrowia i animuszu. Ot wybiórki, kaleki, niedojdy, które tylko jak baby płakać i narzekać potrafią i boją się własnego cienia. Niby mądre a głupie, niby silne przez swoje wynalazki, a słabe jak dzieci.

Tak to nasi rycerze krytykowali swoich prawnuków i wielce litowali się nad nimi i ich niedolą, nie zazdroszcząc im ich wielkich wynalazków, urządzeń i całej nowoczesnej kultury niosącej z sobą zatrutę ducha rycerskiego.

Właśnie z leśnej gęstwiny wynurzył się zdala pociąg, jakoby smok piekielny, wyrzucając ze swej paszczy kłęby pary i ognia a równocześnie odezwały się gęste strzały i jakieś stłumione krzyki.

Pociąg stanął.

Do środka wtargnęli łotrzykowie z rewolwerami w rękę. Ruki w werch! Plackiem na ziemię! padł rozkaz.

Zaskoczeni przeważnie wa śnie podróżni nie stawili żadnego oporu, lecz pod grozą rewolwerów dali się obrabowywać z pieniędzy, kosztowności a nawet ubrań.

Pociągiem tym jechał również nowozamianowany „towarzysz” „wojewoda Domborowicz” w asystencji komisarza policji. Na równi z innym padł plackiem na padłogę i pozwolił się do nitki obrabować.

Po półgodzinnym rabunku opryszkci cofnęli się w lasy a pociąg ruszył dalej.

Spóźniliśmy się! krzyknął Wołodyjowski.

Ta banda nie traci czasu, ale trzeba nam teraz przynajmniej ją wyłapać, gdy niemogliśmy ocalić jadących.

Przez bagniska, wertepy i krzaki pomknął cały oddział i wśród ciemności wyłowił kilkunastu obciążonych łupami opryszków, których powiązano i na koniach powieziono.

Niedaleko stał dworek szlachecki, do którego oddział zjechał, budząc już późną nocą właściciela.

Trzeba nam obrać chwilowo tu kwatere, czy będą nam radzi czy nie, tłumaczył wódz.

Dworek, choć ubogi, był jednak obronny.

Spuszczone brytany naokoło gęstego częstokołu poczęły groźnie ujadać a kilku ludzi świsem nawoływać się.

Wkrótce zabłyśły w oknach światła i ukazali się ludzie z karabinami.

Długich pertraktacyj trzeba było, zanim naszych zagoń-
czyków wpuszczono do środka.

Coście za jedni? skąd?

Swoi! Kulig szlachecki! uspokajał Wołodyjowski — Wie-
ziem pojmanych opryszków bolszewickich, nie bójcie się!

Ci ludzie podobają mi się, bo nie dadzą się tak łatwo
podejść, jak inni mówił do swego orszaku mały rycerz. Prze-
cież w tej nowej Rzeczypospolitej jeszcze są ludzie odważni,
którzy chcą i umieją się bronić.

Wpuszczono ich na dziedziniec i bramy zawarto. Starszycz-
na znalazła pomieszczenie w pokojach, reszta w gumnach i w
stajniach przed zimowym chłodem.

Wołodyjowski zaraz złożył sąd, do którego powołał
właściciela i jego dwóch synów i poczęli badać opryszków.

Jak się okazało byli to najęci za pieniądze moskiewskie
zbirowie bolszewicy z za kordonu, którzy urządzili napad na
pociąg a w dalszym ciągu mieli w planie rabunek dworów
szlacheckich.

Co z nimi zrobić zapytał obywatel.

Każdemu kula w łeb, albo na gałąź odrzekł Wołody-
jowski.

U nas tak nie wolno! trzeba ich oddać na policję, niech
idą pod sąd.

I uciekną albo ich sąd uwolni!

Po długich targach i perswarsjach ze strony gospodarzy
wódz na własną odpowiedzialność kazał połowę wywieszać a
reszcie związanych odesłać do najbliższego posterunku, mówiąc:
Niech nikomu niebędzie krzywda! Na usilne prośby gospoda-
rzy został ze swym oddziałem we dworku i rozłokował się
chwilowo.

Po załatwieniu się z bandytami gospodarze mimo spóź-
nionej pory przyjęli naszych zagończyków gościnnie, czem cha-
ta bogata.

Był to dość obszerny, choć skromny drewniany dworek
p. Krzyńskiego do którego należało około 800 morgów pola,
łąk i lasu.

Nie długo będziem popasać u szanownego Waćpana. Do-
brodzieja usprawiedliwiał się Wołodyjowski — bo jeno prze-
nocujem i dalej w drogę. Dwieście ludzi i koni wnetby Was
doszczętu objadło.

Veto! — wykrzyknął gościnny gospodarz.

• Nie puszczę ja Was zaraz od siebie, tembardziej, że Wy wszyscy zdrożeni i choćby kilka dni musicie u mnie zabawić i odpocząć sobie. Ani ludziom chleba, ani koniom owsa nie braknie, bo chwała Bogu urodzaj był tego roku piękny i bolszewicy dotąd niczego nie zrabowali.

Dlatego wnoszę, żeby choć część panów dłużej została ze względu na częste napady a reszta ruszyła kuligiem w okoliczne dwory, gdzie z otwartymi rękami będą przyjęci.

Zgodą! — zostaną z małym oddziałem a reszta rozlokuje się w powiecie wzdłuż granicy, bo trzeba nam te bandy zerzeć i trochę okolicę z tego robactwa oczyścić.

Już mieli się udać na spoczynek, bo północ dochodziła, gdy nagle zrobił się rwetes i bieganina.

Do pokojów wprowadzono chłopaka ciężko dyszącego i krwłą zlanego, który słaniał się na nogach.

Panowie ratujcie! — wykrzyknął wyrostek ostatkami sił. Na moich państwa napadli bolszewicy, rabują i mordują.

— Z daleka jesteś? — zaczął indagować Wołodyjowski.

— Z Łozinki, półtora mil stąd Bolszewicy postrzelili mnie i konia gdym uciekał, koń padł o dwie wiorsty stąd, ja ledwie dobiegłem.

— Ilu bandytów? Kiedy napadli?

— Będzie ich może z pięćdziesięciu a przyjechali na kilku furmankach może przed godziną.

Wtem zbliżyli się dwaj młodzi Wołodyjowscy do ojca i całując go w rękę prosili: Pozwól nam ojcie pójść z oddziałem.

Pan Wołodyjowski popatrzył z rozrzewnieniem na swych bliźniaków i wyrzekł: dobrze! — poczem szybko wydał rozkazy.

Weźmiecie sobie 50 ludzi, każdy po 25 i ruszycie z kopyta. Pierwszy Jaśko spenetruje dobrze i uderzy, Jaremkę stanie w odwodzie i będzie baczył, aby który nie uciekł. Jak trzeba pomoc — pomoże. Sprawcie się dobrze i zdajcie mi relację.

Synowie pokłonili się do kolan ojcowskich wielce uradowani i wybiegli szykować się do drogi, mając przydanych do boku po jednemu z parobków p. Krzyńskiego, jako przewodników znających drogę i dwór w Łozince.

Nie upłynęły dwa pacierze, jak ruszyły oddziały w skok.

Długo rozprawiali na temat ostatnich wypadków pan Wołodujowski z panem Krzyńskim i dopiero późno w noc ułożyli się do snu.

Około godziny 8-mej z rana wrócili dwaj przewodnicy i zdali dokładne relacje. Odsiecz przyszła w samą porę, nie uszła ani noga, trzydziestu bandytów zabitych i ciężko rannych, około dwudziestu powiązanych odstawiono do najbliższego posterunku żandarmerji. Z naszych nikt nie padł.

Bandyci wyprowadzili wszystkie konie i cały dwór splondrowali, pakując wartościowe rzeczy na wozy. Wśród tych bandyckich łupów były także dwie córki właścicieli, dorośnięte panny, Zosia i Jadwisia, które związane już leżały na wozie i miały być wywiezione do Bolszewji. Ocalili je dowódcy oddziałów, wynosząc zemdlone na rękach. Dwór nietknięty, właściciele i służba ocaleli, tylko obory podpalone.

Na usilne prośby właścicieli i pańienek cały oddział został i zajął się gaszeniem ognia i robieniem porządków we dworze.

Hm! Hm! — mrucał pan Wołodujowski.

— Oho, ani Jaśko, ani Jaremkę tak wnet nie wrócą z tej Łozinki, bo muszą pilnować bezpieczeństwa pańienek. Spodniczki zawróciły im pewnikiem głowę, no, ale po kawalersku się spisali.

Nie mylił się wódz, bo obaj jego bliźniacy z narażeniem życia wyrwali z rąk bandytów piękne panny, unosząc je na rękach wśród zgiełku bojowego. Jaśko uniósł Zosię a Jaremkę Jadwisię, że tam w tem zamieszaniu zbyt silnie przycisnęli do siebie i całowali zapłakane oczęta, nie dziwota, bo byli młodzi a nadto chcieli się uspokoić.

Nad wieczorem państwo Wołodujowscy z gospodarzami pojechali do Łozinki w odwiedzinę.

Zastali dwór cały na stopie wojennej a Jaśka i Jaremkę jako komendantów, których za żadne skarby nie chcieli od siebie puszczać, ocaleni iście cudem, państwo Mareccy. To nasi wybawcy, to nasi obrońcy! — powtarzali z rozrzewnieniem a za nimi zarumienione pańienki.

Widać, że i obrońcom nie spieszo było ruszać się, bo obaj zbyt czule asystowali pańienkom i bardzo im ta służba przypadła do gustu.

Dwie te pary już rozkochane w sobie trzymały się razem i zapomniały o całym świecie.

Ej Jaśko! Jaremkol! — gromiła pani Wołodyjowska i groziła palcem, patrząc z miłością na nich — zapomnieliście się a coż będzie jak za parę niedziel trzeba wracać?

A chłopcy jeno boleśnie wzdykali i oczyma zawracali za panienkami.

— Ot kochliwe to akuratnie, jak ich ojciec. Wola Boża!

Po kilkugodzinnym pobycie, po wysłuchaniu jak najdokładniejszych sprawozdań i serdecznem przyjęciu ze strony państwa Mareckich pan Wołodyjowski na prośby swej Baśki zostawił synów w Łozince jako na kwaterze, zabierając im jednak 20 ludzi, których wysłał w inne więcej jeszcze zagrożone strony.

Również po przybyciu do swej głównej kwatery podzielił cały swój zastęp na małe oddziały po 20 do 30 ludzi i wysłał je w różne strony na obronę dworów, dając jak najdokładniejsze instrukcje.

Nie upłynęło kilka dni a już gazety stołeczne poczęły dawać o tych napadach i ocaleniach dokładne relacje, zabarwiając je w odpowiedni sposób.

Inaczej przedstawiały tę rzecz pisma prawicowe, a inaczej lewicowe. „Samoobrona szlachty kresowej” czytał pan Krzyński w „Gazecie Warszawskiej” czyni szybkie postępy. Oto, jak nam donoszą, szlachta nie mogąc doczekać się od rządu ochrony mienia i życia, zorganizowała samorzutnie oddziały, które jako kuligi, jadąc od dworu do dworu dają ochronę obywatelom i napadającym bandytów bolszewickich tępią bez litości, wieszając ich na gałęzi lub oddając w ręce sprawiedliwości.

Z ostatnich dni zanotować wypada nam dwa napady w okolicy Łunińca na Wysoką p. Krzyńskiego i Łozinkę p. Mareckiego, gdzie te kuligi rozgromiły bandę i ocaliły dwory przed złupieniem.

Dobrze, że wreszcie nasi ziemianie ocknęli się i bronią się sami, skoro rząd nie chce, czy nie może tych band poskromić.

A teraz posłuchajcie jak przedstawia sprawę socjalistyczny „Robotnik”.

„Krwawe zabawy wołyńskich żubrów“ oto tytuł w socjalistycznym piśmie „Nasze żubry — jak piszą — urządziły sobie kuligi w zapusty i rzekomo w obronie przed bolszewikami, odprawiają krwawe samosądy na kresach nad bezbronnymi robotnikami i włościanami, wieszając, i zabijając bez sądu dziesiątki ludzi, którzy ośmielili się upomnieć o swoje krzywdy i może z bronią w ręku dochodzić tych praw.

Być może, że wśród nich znajduje się kilku dywersantów z za kordonu, ale to jeszcze nie uprawnia do takich nadużyć.

Rząd powinien wkroczyć i winnych pociągnąć do surowej odpowiedzialności, bo czasy Jaremy już minęły i nie szlachta, ale lud rządzi i nie szlacheckie ale ludowe mamy rządy.

Kłamstwo! — wykrzyknęli nasi rycerze. A toć tę Rzeczpospolitą przez dziewięćset lat szable jeno szlacheckie osłaniały!

Były winy i ciężkie grzechy u szlachty, ale były i zasługi.

Jak długa i szeroka ta Rzeczpospolita, krwią szlachecką była złana w Jej obronie.

I długo na ten temat prowadzili rozprawy i byli wielce zgorszeni i rozgoryczeni.

Dworek pana Krzyńskiego nolens volens stał się obecnie główną kwaterą zagończyków, w której rozpoczął urzędowanie Pan Wołodyjowski i gdzie miał dzięki gazetom codziennie jak najdokładniejsze relacje o poszczególnych oddziałach.

Wprawdzie te wiadomości były często bałamutne i przesadzone a nawet wedle odcieni politycznych danej gazety odpowiednio zabarwione, ale były.

Telegramy dzienników potwierdzały, że kilkadziesiąt małych oddziałków tego kuligu uwija się wzdłuż granicy i tępi bez litości bandytów bolszewickich. Już kilkanaście dworów, szlacheckich ocalono przed złupieniem i kilkanaście band wybito do nogi, nie bawiąc się w długie procedury.

Nawet z za kordonu były obszerne sprawozdania o rzekomym wybuchu powstania w Mińszczyźnie pod wodzą Kmici-cy przezwanego Kmitą, który po swojemu hulał, wycinając w pień oddziały wojska bolszewickiego.

Skąd te oddziały przybyły, dzienniki nie podawały, lecz nadmieniały, że wzdłuż granicy „szlacheckie kuligi“ robią porządek z bolszewikami a w sowietach oddział Kmity.

„Nasza szlachta kresowa — pisał — „Kurjer Warszawski“ wzięła się do samoobrony i połączywszy przyjemne z poży-

tecznem urządziła sobie w zapusty szereg kuligów wzdłuż całej wschodniej granicy. Jeden, drugi, taki kulig przebrany w dawne kontusze i przy karabelach, a na dobrych koniach jedzie od dworu do dworu przyjęty gościnnie pod komendą już to jakiegoś Podbiپیty, już to Skrzetuskiego, lub Zagłoby i innych obywateli o historycznych nazwiskach z powieści Sienkiewicza i oprócz zabawy szuka bolszewików.

Gdy taką bandę złapią in flagranti, wybijają do nogi. Jakie są właściwe nazwiska tych dzielnych ludzi, trudno zbadać. Faktem jest i to jest najciekawsze, że te kuligi wojują wzorem dawnych rycerzy i zagończyków kresowych i odznaczają się szaloną odwagą i brawurą."

Po dwóch tygodniach przyszły do pana Wołodyjowskiego niejako urzędowe relacje od wodzów poszczególnych oddziałów.

Sprawozdanie te czyli dzisiejsze „meldunki“ były bardzo pomyślne. Prawie każdy oddział starł kilka band i ocalił kilka dworów, kilkuset bandytów padło w ręcznym boju lub zawisło na gałęzi, resztę oddano w ręce żandarmerji. Tu i ówdzie oddziały natrafiały na przeszkody i opór ze strony żandarmerji która nie chciała dopuścić do doraźnych egzekucyj bandytów.

Po dwóch tygodniach zapanował na kresach spokój i nasi zagończycy nie mieli już wiele do roboty.

„Koło nas“ — pisał Skrzetuski — spokój, kika band wycięliśmy w pień i padł taki strach, że boją się nosa wychylić z poza słupów granicznych. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że na południu ostało się jeszcze kilka, więc tam pomału ściągamy, jadąc od dworu do dworu wszędzie z wielką atencją przyjmowani.

Ale takie gonitwy za opryszkami nie w smak nikomu, każdy radby jakiejś bitwy większej i zazdrości Kmicicowi, który podobno tak zalał sadła za skórę bolszewikom, że na jego głowę nałożyli wysoką nagrodę.

Najciekawsze było sprawozdanie starego Zagłoby, który donosił, iż zaprowadził taki ład i porządek, że go chcieli w nagrodę jego zasług obrać wojewodą a pani Wrońska, młoda wdowa, u której stał kwaterą, ofiarowała mu swą rękę z folwarkiem. Ale ja — pisał — jako wiecie syt sławy i zaszczytów a od młodości mej pełen skromności i niewinności — odrzuciłem precz te szatańskie pokusy i zawzięcie ścigałem jeno bol-

szewików dniem i nocą, aż we wstydzie uciekli, gdzie pieprz rośnie. Jenó Roch miał przygodę, bo upiwszy się został przez onych bezbożników ujęty i nawet prowadzony na stracenie.

Ale, gdy ja to spostrzegłem, uwolniłem go z opresji, po-
biwszy na głowę tych niecnótów.

Koloryzuje nasz starowina — mówił do siebie Wołody-
jowski — i widzi mi się, że coś z tymi bolszewikami i Rochem
chyba odwrotnie się zdarzyło, bo Roch jak wiemy nie pije
jeno śpi.

ROZDZIAŁ VI.

Jak wiadomo sławny pułkownik, Michał Wołodyjowski, wierny swej przysiedze, zginął w Kamieńcu Podolskim, wysadziwszy się w powietrze prochami wraz ze swoim przyjacielem Ketlingem na wieść o poddaniu twierdzy Turkom.

Nieutulona w żalu jego małżonka, pani Barbara przewiozła drogie szczątki swego męża do Stanisławowa, gdzie został pochowany.

Rozpacz wdowy, która nagle straciła droższego nad życie małżonka nie miała granic. Chodziła jakby skamieniała i bliska obłądu.

Nic nie pomagały wszelkie pocieszenia i prośby przyjaciół, aby się opamiętała i ból swój ofiarowała Bogu, nic nie pomagały modlitwy pobożnych kapłanów i biskupów — nie-szczęсна trwała w swym bólu zakamieniała i nieczuła.

Aż wreszcie w trzecim miesiącu po śmierci męża Bóg sprawił prawdziwy cud, bo nagle jakby odżyła, poszła do kościoła, padła krzyżem i długie godziny żarliwie modliła się, po raz pierwszy łzy wylewając.

Z kościoła wyszła wielce pocieszona i pokrzepiona na duchu i choć rozpacz i ten kamienny ból ustąpił, nie ustąpiła jednak żałość, ale z niej błyskała już jakaś iskierka nadziei — poczuła się matką.

Dzięki Ci Panie — modliła się żarliwie — niech się stanie święta wola Twoja! Zabrałeś mi do swej chwały jedyny mój skarb, jedyne moje kochanie, dajże mi teraz na pocieszenie synaczka!

Widocznie Bóg wysłuchał modlitwy pobożnej i mężnej niewiasty i przyjął jej wielką ofiarę, bo jakby w nagrodę i na pocieszenie dał jej wkrótce nie jednego, ale naraz aż dwóch synaczków-bliźniaków, wielce podobnych do śp. nieboszczyka męża,

Bóg sprawił cud — mówili ludzie — bo w nagrodę za tę wielką ofiarę dał jej aż bliźniaków.

— Moje robaczki złotel! To od mego Michałka pamiątka a od Boga pocieszenie — mówiła — i tuliła i pieściła je, płacząc z radości.

Nowy duch, nowe życie wstąpiło w nią i zabrała się energicznie do wychowania swoich chłopaczków na chwałę Boga i na pociechę ludziom.

Tak jak sobie ułożyli ze śp. mężem jeszcze w Chreptowie jednego ochrzciła Janem, drugiego Jeremim, imionami dwóch bohaterów i wodzów, pod którymi jej mąż służył t. j. króla Jana i ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

Chłopcy rośli na chwałę Bogu a na pociechę Ojczyźnie i wdali się w swego ojca nieboszczyka, zaprawiając się wcześniej do rycerskiego rzemiosła, pod okiem dzielnych wojowników a przyjaciół śp. Wołodyjowskiego.

Stary Zagłoba, który jeszcze kilka lat żył i przebywał aż do śmierci we dworze pani Wołodyjowskiej, często opowiadał malcom o sławnej śmierci ich śp. ojca i o swoich dawnych przewagach, ale już pamięć mu nie dopisywała, ręce drżały ze starości i głuchota go nawiedziła.

Animusz swój ratował miodem, ale i miodu już nie mógł pić garcami, ale tylko kwaterkami, aż wreszcie pewnego razu wypiwszy kwartę usnął cicho na wieki, wyzionawszy swego męznego ducha w 110 roku żywota.

Młodzi Wołodyjowscy zaledwie wyszli z wieku chłopięcego już ku utrapieniu matki uciekali na wyprawy z Tatarami przysięgając sobie pomścić śmierć swego ojca.

Kilka lat wojowali szczęśliwie, aż wreszcie w 20 roku życia na jednej z wypraw zginęli obaj w walce z Bisurmanami.

Gdy matce przyniesiono tę hiobową wiadomość, padła na miejscu trupem, i tym sposobem wszyscy połączyli się w królestwie niebieskiem.

Gdy przybyli obecnie z ojcem na kresy, odezwała się w nich krew rycerska z powrotem i dzielnie się spisali w Łozince, ocaliwszy dwór i dwie córki, wielce urodziwe panny Mareckie.

Ale miłość nie sługa. niepomni na przestrogi matki przyłgnęli całem sercem i całą duszą do ocalonych przez siebie panien, nie chcąc wiedzieć i słyszeć ani o tym ziemskim, ani o lepszym świecie zaziemskim, z którego wrócili.

Miłość ziemską, choć czysta i idealna, okuła ich w swe słodkie więzy, z których nawet nie starali się uwolnić.

Wiedzieli, że niedługo wracać muszą w zaświaty, więc chcieli sobie użyć tej ziemskiej miłości, nasycić się nią i napić. Gdy ongiś odeszli niewinni z tego padołu łez, nie zaznawszy jeszcze skutków tego uczucia, to obecnie jako ułomni ludzie podlegając prawom ziemskim, poczęli odczuwać w dwójnasób potrzebę tej miłości.

Byli z krwi i kości, więc gdy objęli w swe ramiona równie niewinne dziewice, krew w nich rozpalała się, burzyła, a pamięć i rozsądek osłabły.

— Wolę cię — mówił Jaśko do Zosi — niżli królestwo światła tego, niżli długi żywot, niżli samo zdrowie!

— Milszaś mi szeptał Jaremkó, do uszka Jadwisi, obejmując ją namiętnie silnem ramieniem — od wszelkich bogactw światła! Bez ciebie noc pochmurna i rozpacz, z tobą wiosna i wesele, jakie tam jeno w zaświatach panują!

A kochane i kochające młode dziewczeczki również zapamiętały się i za miłość miłością płaciły, za pieszczoty pieszczotami, nie zdając sobie sprawy, że to wszystko minie wkrótce, jak sen słodki.

Młodzi Wołodyjowscy, choć wiedzieli, że lada dzień swoje ukochane opuścić muszą, tylko półgębkiem napomykali o odjeździe, dochowując nakazanej przez ojca i wodza tajemnicy.

Aż wreszcie nadszedł twardy rozkaz wodza a zarazem ojca do powrotu i do wymarszu.

Z płaczem rzuciły się na szyje dzielnym młodzianom, jakby chciały ich zatrzymać, ale Wołodyjowscy byli przede wszystkim żołnierzami.

— Rozkaz wodza i ojca woła nas, więc wracać musimy, ale gdy tylko Pan Bóg zezwoli, wrócimy do was, choćby na skrzydłach, boście nam najmilejsze na tym świecie.

I pożegnali się na wieki, zostawiając dziewicę we łzach i w smutku.



ROZDZIAŁ VII.

Dobrze się wiodło staremu Zagłobie we Dworze pan Wrońskiej, która jak córka starała się, aby mu na niczem nie zbywało, i otaczała go z powodu jego podeszłego wieku wielkimi względami.

Staruszek cały boży dzień jadł i pił jak za dawnych dobrych czasów, baraszkował i opowiadał o swoich przewagach wojennych i jeszcze większych sukcesach miłosnych.

W picciu był niewybredny bo z braku miodu i wina, podniecał swego bohaterskiego ducha gorzałką lub piwem i gdy sobie podpił, zwracał się z wielce gorącemi afektami w stronę gospodyni.

Młoda i urodziwa gosposia śmiała się serdecznie ze staruszka, którego spadnie mogła być prawnuczką i z wdzięcznością przytakiwała wszystkiemu, byle go sobie nie zrazić.

Roch natomiast używał sobie na spaniu, bo zagrzebawszy się w siano w stodole spał częstokroć całą dobę zapominając o bolszewikach i o całym tym mizernym świecie.

Od czasu do czasu wysyłał go p. Zagłoba z podjazdami w bliższe okolice, z których wracał zwykle z próżnemi rękami, bo bolszewików nie było wcale, więc znowu Roch po każdej takiej wyprawie nie mając nic lepszego do roboty — spał.

W tych słodkich choć zasłużonych wywczasach pana Zagłoby jedynym zgrzytem i prawdziwem jego utrapieniem były częste wizyty i indagacje miejscowego posterunku żandarmerji, które „sławnego” wodza wyprowadzały z równowagi, i ten pracowity żywot mu zatruwały.

Zaraz bowiem nazajutrz po ocaleniu zjawił się komendant posterunku i rozpoczął spisywać protokół.

— Kto tych ludzi kazał powiesić? pytał.

— Ja! — odparł dumnie Zagłoba,

— Jak się pan nazywa? co pan tu robi?
 — Zagłoba sum!

— Zagłobasum — pisał w protokóle żandarm.

— A to prostak, nawet po łacinie nie umie tyle, co organista! mruczał staruszek.

— Skąd pan?

— Hm. Skąd ja? Chyba z królestwa niebieskiego! — kpił sobie.

— Odmawia pan odpowiedzi?

— Z acanem taka rozmowa, jak z gęsiami na wodzie.

— Z czyjego rozkazu kazał pan tych ludzi pozbawić życia?

— Z własnego!

— Dlaczego nie uwiadomił pan o napadzie władzy?

Tego już było Zagłobie za dużo, więc wstał z krzesła i krzyknął: A idźże acan z temi protokołami do stu tysięcy djabłów, bo każę mu taki protokół na skórze wypisać, że będziesz ruski miesiąc pamiętał.

W imieniu prawa aresztuję pana i wszystkich jego towarzyszy!

— Rochu słyszysz? — w areszt nas bierze za to, żeśmy bolszewików wycięli. Damy ci zaraz areszt i protokoły! Bierz go Rochu i każ mu odliczyć na majdanie pięćdziesiąt oblewanych za to, że w czasie napadu bolszewickiego stchórzył i nie pospieszył z pomocą napadniętym.

Przy tych słowach Roch ucapił biednego stróża bezpieczeństwa publicznego za kark, podniósł go jak kota w powietrze i bez wysiłku wynosił przez ganek na majdan.

Na szczęście wpadła na to pani Wrońska i dzięki jej interwencji udało się ocalić od cięgów przedstawiciela władzy miejscowej, i sprawę jakoś załagodzić.

— Bójcie się Boga panowie! przedstawiała właścicielka, tak nie można postępować z władzą, bo sprowadzicie na mnie i na swoje głowy nieszczęście!

Ładna mi władza, która nie troszczy się o poddanych pozwalając im napadać, nie broni i jeszcze chce aresztować obrońców! mruczał oburzony Zagłoba.

Wogóle do władzy i całego nowego ustroju Rzeczypospolitej żywił niechęć, pytając niekiedy: Jest Rzeczpospolita to dobrze, ale gdzie Król?

I ma tu być dobrze w tej Rzeczypospolitej? biadał i pił dalej zawzięcie.

Ani nowoczesnymi urządzeniami, ani wynalazkami nie zachwycał się wcale, przypisując im winę upadku ducha rycerskiego i animuszu w narodzie.

O bolszewikach nie było już wcale słyszeć, więc i czujność była mała. Dostali porządną nauczkę, więc już się nie pokuszają — mówił do gospodyni, i trzeba nam będzie dalej ruszać. Ale swój wyjazd odraczał z dnia na dzień, i nie spieszyło mu się porzucać gościnne progi.

Pewnego dnia, gdy swoim zwyczajem siedział przy kuflu piwa, ni stąd ni zowąd ukazało się we drzwiach kilku drabów, z wymierzonymi weń rewolwerami: Ruki w werch! krzyknęli

Zanim starzec chwycił za szablę, był ubezwładniony skrępowany i zakneblowany.

Tym sposobem po kolei cicho i bez krzyku obezwładnili gospodynię i całą służbę a następnie rozbroili i powiązali jego ludzi.

Gorze mił biadał Zagłoba, toć te chamy gotowe nie uszanować mojej godności, ani starości, i zemścić się za powieszonych zbójów.

Szkoda, że Rocha niema, pewnie szelma w najlepsze chrapie na sianie a ja tu w łykach! I kto wie czy tu nie gorzej, aniżeli na tem weselu Bondarówny z Bohunem?

Tak rozmyślając, napróżno szukał fortelów i środków ocalenia.

Tymczasem we dworze odbywał się rabunek szybko i sprawnie.

W pół godziny zjawił się herszt i począł się z bezbrojnego starca natrząsać, mówiąc po rosyjsku: Ha wojowaliscie, aż teraz przyszło wam na koniec. Kazałeś powiesić naszych towarzyszy, a teraz ty stary gorszą śmiercią zginiesz ze wszystkimi. My was nie powiesimy, ale żywcem zakopimy w ziemi.

— No wstawaj kopać dla siebie grób! — To mówiąc, kopnął go silnie. Zagłoba jęknął z cicha, zagryzł wąsa, i popatrzył na opryszka z podełba...

— Jak wstanę, skoro jestem skrępowany! — odrzekł.

— Charaszol Trzeba cię rozwiązać!

Na dany znak zjawiło się kilku drabów, którzy rozwiązali Zagłobę i wywlekli go na podwórze, gdzie było zgromadzona cała służba i jego podkomendni.

Kilkunastu uzbrojonych bandytów, otoczyło całą grupę skazańców i prowadziło do ogrodu. Tu będzie wasz grób! rzekli śmiejąc się, ale musicie się spieszyć z kopaniem, bo dużo czasu nie mamy,

Macie łopaty, ale pamiętajcie, że za najmniejszy ruch kula w łeb.

Następnie stanęli za skazańcami z wymierzonymi karabinami.

Zagłoba pochwyciwszy w garść łopatę odetchnął, rozejrzał się wzdłuż szeregu swych towarzyszy niedoli, w których ani Rocha ani pani Wrońskiej nie dostrzegł.

Było ich około dwudziestu z łopatami a kilkunastu opryszków z tyłu z karabinami.

Rozpoczęli wszyscy kopać wspólny grób, stojąc rzędem obok siebie.

— Oj Rochu, Rochu! Ty śpisz a my kopać musimy! Dam ja ci szelmo za spanie, mruczał jęcząc i lamentując a równocześnie począł się nabożnie żegnać i odmawiać pacierz. Ojcze nasz! — mruczał, do swego towarzysza lekko się zwracając — jak dam znak — który jesteś w niebie, — każdy swego łopatą przez łeb — święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje — podaj dalej, niech każdy wali swego przez łeb.

— Co ty stary mruczysz?

— Pacierz mówię!

— Bądź wola Twoja!

Tymczasem gdy część przeznaczona do egzekucji pilnowała skazańców, druga część przetrząsała dwór i budynki, szukając zdobyczy i ukrytych ludzi.

Bodąc bagnetami w sianie, znaleźli i obudzili wreszcie Rocha, który zraniony boleśnie w biodra, ryknął jak tur i odruchowo grzmotnął pięścią w wystający łeb napastnika. Ze łba bandyty uczyniła się krwawa miazga a ciało spadło bez jęku na siano.

Widząc jakieś postaci szukające i krzyki na dworze, zszedł rozczochrany z resztkami siana na głowie, na poły zdziwiony, na poły zły, kto mu śmiał sen słodki przerywać i stanął na majdanie szeroko usta utworzywszy, bo ten widok

kopiących towarzyszy i stojących za nimi opryszków wielęgo zastanowił.

Rochu bywaj! — krzyknął uradowany Zagłoba na jego widok, a równocześnie pochyliło się w jego stronę piętnaście łuf karabinowych i rozległa się komenda: „Ruki w werch“.

Odruchowo podniósł Roch w górę ramiona i zacisnąwszy pięści podobne do dwu maczug, szedł szybko ku swym towarzyszom w rozchełstanej koszuli, pokrwawiony, straszny, dyśzący, jak tur zraniony.

Zaledwie go kilka kroków dzieliło, rozległ się głos Zagłoby: bij, morduj!

W oka mgnieniu dwadzieścia łopat zaświstało złowrogo w powietrzu a równocześnie dwie olbrzymie pięści Rocha spadły na łby bolszewickie, gruchocąc je z kretesem.

Małą chwilkę trwało kotłowanie a już piętnastu bolszewików leżało pociętych łopatami z rozwalonemi łbami.

Ani jeden strzał nie padł.

— Karabiny w garść i na tamtych psubratów! — zakomenderował ocalony Zagłoba.

Chwycili karabiny i część runęła do dworu z Zagłobą a druga część z Rochem do gumna. Roch nie wiele rozumiejąc się na nowoczesnej broni, uczynił sobie z karabinu maczugę i chwyciwszy za lufę wpadł do gumna i począł prac.

Krzyki i jęki był odpowiedzią.

Wybito wszystkich do nogi.

Dół na pół wykopany przez Zagłobę i jego podwładnych, przydał się dla bolszewickich trupów.

Wiktoria! — krzyknął upojony zwycięstwem Zagłoba — ale zażyłem ich z mańki i pobiłem!

Szkoda tylko, że Roch zasnął i spóźnił się, boby to inaczej poszło. I nie lepiejby to było tym psubratom wodę żydowinom nosić, aniżeli na szlachtę napadać a dziś ziemię gryźć!

Nazajutrz posłał obszerną relację o tem zwycięstwie do Wołodyjowskiego, podnosząc swą waleczność i determinację jako wodza i ocalenie Rocha.

Trochę odmienne były opisy w dziennikach warszawskich.

W kilka dni później nadeszły telegramy o strasliwym pogromie bolszewików w Mińsku i o rozszerzaniu się powstania na Białorusi przez czyny dzielnego Kmity.



ROZDZIAŁ VIII.

Po spaleniu Mińska i krwawej masakrze bolszewików, Kmicic na wieść o przybyciu Budiennego ruszył ze swoją chorągwią na jego spotkanie,

Wprawdzie siły nie były równe, bo Kmicic miał pod sobą około 1500 ludzi, gdy tymczasem Budienny ściągnął około 6000 swoich kozaków, a nadto z Moskwy wysłano 1 dywizję piechoty z armatami i kulomiotami w siłę około 10.000 ludzi, tak, że wojska bolszewickie dziesięćkroć przewyższały oddział Kmicica.

O stoczeniu otwartej bitwy mowy nie było, bo całą jego watahę bolszewicy nakryliby czapkami; o tem wiedział i o tem nie myślał, ale chciał swoim zwyczajem wpaść z nienacka i trochę poszarpać wraże wojska.

Gdy więc pociągi z wojskiem stanęły niedaleko miasta przed zerwanymi szynami i żołnierze zaczęli wychodzić lub zając byli wyładowaniem armat koni i sprzętu wojennego, wpadł na nich jak burza z nienacka, kozaków rozgromił a jeden pociąg podpalił i takie wywołał zamieszanie, w szeregach bolszewickich, że ci rozbiegli się jak owce po lesie a ich gławno-wierch żydowin Leib Bernstein-Trocki. ledwie z życiem uszedł, utaiwszy się lekliwie pod jednym z wozów kolejowych.

Zdobywszy nie mało kulomiotów, karabinów i amunicji, Kmicic uszedł i założył obóz swój wśród lasów na gruzach starego zamczyska w odległości kilku mil od Mińska.

Była to pozycja z natury obronna, bo położona na wzniesieniu jedną stroną oparta o rzekę, posiadająca resztki murów skalistych wyłomów łatwych do obrony, ale trudnych do zdobycia.

— Tu się będziem bronić — odrzekł po przybyciu,

Zaraz kazał ścinać olbrzymie dęby i buki, z których porobił zasieki, wokół pokopał głębokie rowy i urządził z pni drzewa i ziemi bezpieczne kryjówki przed granatami i czekał.

Po kilku dniach bolszewickie samoloty odkryły jego fortecę, w którą poczęły wnet bić armaty. Na jego szczęście były to działa polowe które choć były dzień i noc, nie wiele uczyniły szkód, bo olbrzymie pnie powalonych dębów i buków z dużemi na nich nasypami ziemnymi paraliżowały siłę uderzenia i dostatecznie chroniły.

Po całodziennym kanonadzie poszła piechota bolszewicka do szturm na tę fortecę. Przyjęły ją gęste strzały kulomiotów i granatów ręcznych tak, że po godzinie cofnęła się w popłochu zaścielewszy pole trupem.

Po odparciu szturm wysłał nocą swego adjutanta Hipocentaurusa z wiernym Soroką na wycieczkę przydawszy im około pięciuset co najlepszych pachołków.

Straszny, nie znający ni trwogi, ni litości Hipocentaurus sprawił prawdziwą rzeź wśród bolszewików i cały obóz nieprzyjacielski z Bernsteinem Trockim i z Budiennym zaalarmował, poczem z łupami wrócił do fortecy, nie straciwszy ani jednego męża.

Głównowierch Leib Trocki wpadł w prawdziwą wściekłość, wysłał całą eskadrę samolotów z bombami, kazał bić z armat i znów ponowił szturm na fortecę.

Po kilkugodzinnej krwawej walce, w której padło do dwóch tysięcy posłusznych muzyków, szturm odparto i straszny Kmita znów triumfował.

— Sto diabłów zjedzą, nim mię stąd wykurzą! — mówił do swego otoczenia! Hej! Gdyby tu jeszcze był Wołodyjowski, moglibyśmy we dwójkę rozbić tę hołotę i przepędzić ją na cztery wiatry, ale na jednego za wielką siłą do otwartej bitwy.

W czasie szturm granaty rozbiły głaz, który zasłaniał otwór do podziemnych pieczar. Po usunięciu rumowiska znaleziono olbrzymie jakieś przedhistoryczne pieczary wyżłobione przez naturę z dużemi chodnikami prowadzącemi poza mury zamczyska na urwiste brzegi rzeki tuż za obozem oblężających bolszewików.

Dobra nasza! — wykrzyknął Kmicic, — teraz dostaną łupnia! Głuchą nocą wyprowadził część swej watahy temi pieczarami i napadł na jazdę Budiennego, wśród której sprawił

rzeź i zamieszanie i omal samego wodza nie wziął do niewoli poczem wrócił podziemnym chodnikiem do swej fortecy, wesół i zadowolony, jakby spłatał niewinnego figla.

Bolszewików ogarnęło przerażenie, wściekłość i prawdziwa rozpacz.

Jak tak dalej pójdzie mówił w swej żydowskiej duszy głównowierch Leib Bornstein-Trocki, to te głupie muzyki z Budiennym gotowi przejść do tego zbója Kmity i na nas zwrócić swe karabiny. O Jechowa, Adonaj, ratuj! — wołał zrozpaczony.

Tyle krwi, tyle mąk, tyle naszego upokorzenia miałyby pójść na marne przez jednego bandytę? I znowu my mielibyśmy być w niewoli u tych ciemnych głupich muzyków i służyć im, stać przed ich drzwiami i nie móc być w ich wojsku nawet kapralami, jak za dawnych czasów?

O Jechowa! Ukaż prześladowcę Twego! Niech zginie! Niech przepadnie on i jego przekłete pokolenie Amen!

Tak jęczał i modlił się głównowierch Lejp Dawidowicz Bornstein-Trocki, następca Mikołaja - Mikołajewicza z rodu Romanowych.

Nazajutrz wydał „ukaz“, który rozlepił na murach Mińska i kazał rozrzucić z samolotów nad fortecę Kmicica, obiecując nagrodę w wysokości stu tysięcy rubli w złocie za dostawienie żywego, czy umarłego strasznego wodza.

— Ha! pieskie dusze! śmiał się Kmicic, czytając te odezwy bolszewickie. Hojnie jesteście, ale niedoczekanie wasze.

— Soroka! — zawołał swego wiernego adjutanta! — Weźmiesz kilku ludzi, pójdziesz do Mińska w przebraniu i każesz pod grozą rewolwerów wydrukować tej treści odezwę:

„Za dostawienie żywego, czy umarłego głównowiercha Leibę Bernsteina-Trockiego dam tysiąc rubli w złocie, a za jego parobka wachmistrza Budiennego pięćset rubli“. Pułkownik Kmita.

— Odezwę tę rozlepisz na murach miasta i na wszystkich rządowych budunkach, po polsku i po rosyjsku.

— Wedle rozkazu panie pułkowniku! zasalutował Soroka i poszedł do Mińska.

Nazajutrz zrana w całym mieście i nawet w obozie Budiennego wszyscy czytali „ukaz“ strasznego Kmity i wielę dziwowali się nad jego zuchwałością.

Głównowierch Bernstein włosy darł sobie z głowy i jęczał a Budienny przewany wachmistrem, bo rzeczywiście nim był w carskiem wojsku, chodził smutny i coś bardzo sumował, może czyby nie lepiej służyć pod sławnym Kmitą, aniżeli pod jewrejskim głównowierchem Trockim.

Odpowiedzią na tą bezprzykładną zuchwałość ze strony „buntownika“ Kmity była straszna kanonada ze wszystkich dział i ponowny szturm na okopy fortecy, który znów został odparty a oddziały bolszewickie zdziesiątkowane.

Tu w tej fortecy możnaby się bronić choćby i rok — mówił sobie Kmicic — ale nasz urlop już się kończy i trzeba nam wracać, skądeśmy przyszli.

Wysłałem wprawdzie parę tysięcy tych psubratów do piekieł, ale to kropla w morzu i przed odejściem trzeba by jeszcze tę hołotę rozprószyć, aby wstrętów Panu Bogu nie czyniła i nie tryumfowała.

Sam nie dam rady, bo tego tałatajstwa ściągnęli do dwadzieścia tysięcy, ale do spółki z Michałem możnaby rozbić

Czy on jednak zechciałby?

Tu nie idzie o mnie ani o moich ludzi, ale pro publico bono, rzecz wielce i dla Pana Jezusa i dla wszystkich świętych miła.

Choć z drugiej strony — jak nam tłumaczył niebieski klucznik, jest to dopust Boży na tych Moskwicinów za ich ciężkie przewinienia i grzechy wobec Rzeczypospolitej, którą napadli, rozebrali do spółki z Niemcami i wielce cały nasz naród przez tyle lat gnębili, gorzej pogan i Bisurmanów.

Naród nasz znosił ich ciężką niewolę, ale oni teraz w stokroć większej niewoli, bo u niewiernych żydowinów.

Może niegodni tego, aby ich wywieźć z tej niewoli, w którą przez swe grzechy wpadli, ale niechże widzą, że my mścić się za nasze krzywdy nie potrafimy, ani cieszyć się z ich nieszczęścia i upadku, lecz raczej chcemy pospieszyć ku pomocy z naszemi szablami, otworzyć im oczy, zwrócić ku Bogu i powiedzieć: Nawróćcie się, brońcie się i ratujcie swą ojczyznę i honor!

Po długich deliberacjach ze sobą napisał list do Wołodjowskiego, przywołał wiernego Sorokę i tak doń rzekł: Pójdiesz waść z ważną misją do pułkownika Wołodjowskiego, który — jak słyhać — już jest na odchodnem pod Łunińcem

ściągnąwszy swoich ludzi i wręczysz mu mój list. Powiesz jak sprawy stoją i że tu nie idzie o oswobodzenie mnie i moich ludzi, ale o pokaranie tych bezbożników.

W przebraniu przez pieczary przedrzesz się w lasy i siądziesz na kolej żelazną nie na koń, bo tu idzie o szybkość.

Najdalej w dwadzieścia cztery godzin musisz się z nim rozmówić a w trzy dni albo sam wrócić, albo z całą chorągwią.

Weźmiemy ich we dwa ognie i rozpędziwszy na cztery wiatry odejdziemy, bo czas nasz nadchodzi.

Rakietami dajcie mi znać o swem przybyciu, abym wiedział co czynić.

Nie mieszkając, Soroka przebrany za chłopą białoruskiego ruszył w drogę.

Tymczasem grały zawzięcie bolszewickie armaty, zasypując ciągle granatami zwaliska zamkowe i nasypy.

R O Z D Z I A Ł IX.

Jeszcze przed oznaczonym terminem poczęły oddziały naszych zagończyków ściągać powoli pod Łuniniec do głównej kwatery naczelnego wodza.

Przybył Skrzetuski, Podbięta, Nowowiejski a na ostatku stary Zagłoba z Rochem, również i Wołodyjowski wydał rozkaz do swego oddziału, aby był w gotowości.

Wszystkie oddziały zakwaterowały się po okolicznych wioskach u chłopów a starszyzna jeno we dworach; starzy zaś kompanjonowie ulokowali się w głównej kwaterze u gościnniego pana Krzyńskiego.

Rojno i gwaro uczyniło się w starym dworku, gdy tylu i tak znamienitych wojowników przybyło.

Znowu jesteśmy w kupie po tylu i tak znacznych wiktoryach odniesionych nad tymi psu bratami — perorował stary Zagłoba — ale będą nas mile wspominać, bo za laliśmy im sadła za skórę, jak się patrzy, a chyba ja najwięcej ze wszystkich, was, co poświadczyć może Roch, którego żywot doczesny z rąk tych bezbożników salwowałem. a owych samych sromotnie pobiłem taki postrach na całą okolicę rzuciwszy, iż samo imię Zagłoba już ich w jakoweś chorobliwe delirium i trwożną drżączkę wprawiało.

Mój Boże! — wzdychał stary — pro publico czy aeterno bono urodziwą podwikę, zasnę białogłową, żyjącą we wdowieńskim stanie a ku mnie wielkim afektem pałająca porzuciłem, zostawiając ją we łzach i smutku; wszelkiemi dostojeństwami, któremi mię obdarzyć chcieli jakoto urzędem wojewody i senatora pogardziłem, to sobie mając na względzie, że od wszystkich dostojeństw zacniejszą jest wiekuista szczęśliwość w naszym Królestwie niebieskiem, choć w niem niema ani miodu ani wina, jeno jakowaś słodka ambrozja.

Ót biedna ta Rzeczpospolita i biedni w niej obywatele do-
kończył z westchnieniem, bo zmarł w nich animusz rycerskich
ojców i już ani bić się, ani pić nie umieją i nie mają co, chyba
jakoweś ziółka i gorzałkę.

— Rochu, podaj mi gąsiorek gorzałki, bo mi w gardle
zastygło i ckliwo się czyni w żywocie wedle wątroby nad mi-
zerją w tej dzisiejszej Rzeczypospolitej.

Staruszek przytknąwszy gąsiorek, w którym jeno bulgotało
pił chciwie.

Ten smutek udzielił się obecnym, bo zwiesiwszy głowy
milczeli, od czasu do czasu wdychając żałośnie nad upadkiem
rycerskiego ducha w Rzeczypospolitej.

Wołodziejowski niechcąc przeszkadzać miódopłynnej wymo-
wie i narzekaniom starego rycerza, milczał i jeno wąsikami ru-
szał zawzięcie, niecierpliwiąc się bardzo.

Gdy jednak Zagłoba począł pić i uczyniła się cisza, zabrał
głos i w te się słowa odezwał:

Nasz zacny towarzysz sędziwy Zagłoba, złożył już raport-
oczekuję teraz od was obecnych dokładnych relacji, a choć znam
je z gazet, w gazetach jednak może być niedokładność, więc
ciekaw jestem usłyszeć od was samych, coście uczynili.

I rozpoczęli nasi rycerze składać relacje krótkie, żołnier-
skie, gdzie ile dworów i ludzi ocalili, ile band rozbili, i jaki
postrach aż za kordon rzucili.

Zgadza się zgadza — mówił z cicha do siebie Wołody-
jowski, przerzucając gazety.

W czasie raportu Podbięty, Zagłoba skończył pić a od-
rzuciwszy precz późny gąsiorek, jako że nie znosił widoku
próżnych szklanic, przerwał nagle: o wszystkim nam tu prawisz,
ale o ocalonych niewiastach milczysz i odgrywasz rolę niewin-
nego baranka, choć ślub spełniłeś pod Zbarażem!

Zapłonił się zacny Podbięty na wspomnienie niewiast,
jako że był dotąd niewinny i odrzekł: Nie neguję waszmości,
że wśród ocalonych były i niewiasty nawet wielce urodziwe, ale
tak nieprzystojnie przyodziane, iż raczej zgorszenie, aniżeli afek-
tu prawego rycerza wywołać mogły.

Prawdziwie! prawdziwie! — potwierdzili obecni.

Mówcie sobie, co chcecie, ale ja choć stary taki skru-
pulatny nie jestem, i ten brak części przyodziewku u nich na
dole i u góry wielce mi przypadł do smaku.

— Nie gorsz ociec naszych dzieci! perswadował Skrzetuski poważnie i zwrócił rozmowę na tory publiczne.

— A co się dzieje z Kmicicem? dorzucił ktoś z obecnych

— A właśnie o nim chciałem pomówić z waćpanami, bo to, co wyczytałem w gazetach, bardzo mię niepokoi.

Jak słyhać, już nałożyli bolszewicy cenę na jego głowę, i podobno, ma być wedle Mińska otoczony i lada dzień go wezmą, bo przemożne idą nań siły. Uwzięli się, bo nie dość, że zrewoltował im całą Białoruś, ale spalił Mińsk, wysiekl bolszewickich dygnitarzy i poturbował paskudnie Budiennego i ich głównowiercha Leibę Trockiego.

Jędrek nie da się osaczyć, — odezwały się głosy. On mądrzejszy od bolszewików. Jak nie da rady, urwie, wysiecze co będzie mógł i wywinie się.

Mam tu! — rzekł Wołodyjowski — różne gazety z dokładnymi opisami z ostatnich dwóch tygodni a nawet najnowsze wiadomości z bolszewickich, które wam odczytam.

Ot co pisze „Kurjer Poranny“ z przed dwu niedziel:

Ku zdziwieniu powstanie na Białorusi, nietylko nie osłabło ale rozszerza się niby płomień wśród wichru. Pułkownik Kmita podobno z carskiego wojska, napadł na Mińsk, spalił go, komisarzy i czerezwyczałkę wbił na pale, resztę oddziałów wyciął do nogi i powywieszał a na wieść o przybyciu pomocy, napadł na wysiadające z wozów kolejowych wojska Budiennego które bądźto rozpedził na cztery wiatry i uszedł..

Druga wiadomość „Kurjera warszawskiego„ brzmi gorzej:

Pograniczny telegram własny „Sławny pogromca bolszewików ataman Kmita po spaleniu Mińska,“ wymordowaniu krwawej czerezwyczałki i poszarpaniu kozaków Budiennego uszedł ze swoją watahą w lasy i założył fortecę na ruinach starego zamczyska kilka mil od Mińska, skąd zamysła się bronić czynić wycieczki na bolszewików..

Jak się dowiadujemy bolszewicy postanowili za każdą cenę zdobyć tę fortecę i ująć groźnego partyzanta..

W tym celu ściągnęli ze wszęch stron wiele tysięcy wojska, przeważnie piechoty i artylerji, a nadto całą dywizję kozaków Budiennego i rozpoczęli oblężenie..

Równocześnie nałożyli za jego głowę cenę 100.000 rubli w złocie za żywego lub zmarłego. Artylerja bije dzień i noc w jego zasieki, a samoloty bombardują z powietrza tę jego

forteczkę, ale dzielny Kmita trzyma się i nie myśli wcale o poddaniu się. Podobno robi wycieczki z tej swojej forticy i daje się we znaki bolszewikom a nawet ogłosił na murach Mińska nagrodę 1000 rubli za Budiennego a 500 rubli za Trockiego!

„Czy jednak długo utrzyma się wobec przemożnych sił bolszewickich wątpić należy„.

Wszyscy z wielką uwagą słuchali tych sprawozdań, odruchowo chwytając za miecze wielce poruszeni.

Szkoda Kmicica! Zdałoby się mu pospieszyć z pomocą odezwały się głosy rycerzy.

Cichajcie! uspokajał Wołodyjowski, przeczytam wam jeszcze najnowsze telegramy bolszewickie z gazet.

Oto co pisze „Izwiestia:“ Mińsk (telegramy) „Krwawy bandyta w matni“

„Po kilku tygodniach bezkarnych mordów wreszcie ów krwiożerczy bandyta Kmita ze swoją bandą został w swojej kryjówce osaczony przez nasze wojska, którymi dowodzi nasz sławny wódz naczelny Leon Dawidowicz Trockij, mając do pomocy dywizję kozaków Budiennego. Pomimo oporu i różnych sztuczek Kmita, bandyta ów nie ujdzie zasłużonej kary i najdalej do dni trzech zostanie ujęty i stracony publicznie w Mińsku, gdzie dla niego jest już przygotowany pał, to jest to narzędzie kary, którym się posługiwał w walce z rządem sowieckim. O ile się sam podda zostanie tylko powieszony, a jego banda zdziesiątkowana“

Niedoczekanie ich! wykrzyknęli rycerze. Kmicic raczej pognie a nie podda się tym żydowskiemu pachołkom!

Ile. W materji, przerwał Wołodyjowski, radbym usłyszeć zdanie większości.

Tak jak rzeczy stoją, rozpoczął Zagłoba, tu niema co deliberować tylko spieszyć Kmicicowi z pomocą póki czas, bo periculum in mora. Te psie i takie syny gotowe go naprawdę tak ścisnąć, że może być źle.

A co ty na to Janie? zapytał dalej wódz Skrzetuskiego — przerywając Zagłobie.

Siwy i poważny bohater Zbaraski, jakby ważąc każde słowo w tem sensie przemówił: Kmicic poszedł za kordon bez rozkazu na własną rękę z najgorszymi paliwodami jako mściciel tych Rosjan, którzy kilka lat temu byli katami własnej

jego ojczyzny. tę ojczyznę rozebrali i nad nią 150 lat się znęcali. Krzywda im, bronią się sami, po co nam pchać palce między drzwi, Ta bolszewja i ci żydowini w których niewoli jęczy teraz cały naród to dopust Boży, to kara za ich grzechy.

Nasz boski wysłannik mądrze uczynił, spuściwszy na nich tę ciężką niewolę, która ułatwiła powstanie z martwych Rzeczpospolitej, bo jakaby to była dziś ta Rzeczpospolita, gdyby nie było rewolucji i bolszewików?

Czy ich carowie dopuściliby do jej powstania?

Czyby dobrowolnie oddali zagarnięte ziemie?

Jak w ogniu nabiera hartu żelazo, tak w niewoli i w opresji dusza narodu siły.

Nie trzeba przed czasem korygować woli niebios i wyroków boskich.

Broni i usprawiedliwia to Kmicica, iż on nie poszedł mścić się własnych krzywd, jeno obraży boskiej, nie szukał wawrzynów wojennych, jeno nie mógł znieść poniżenia ludu chrześcijańskiego, przez bezbożnych bolszewików, i wymiarkował w swym rozumie, że uczyni przysługę Rzeczypospolitej i porwie ten biedny sponiewierany lud ruski do walki i oporu.

Nie oponuje ja też przeciw spieszeniu na pomoc Kmicicowi, skoro on w obieży, bo to nasz towarzysz, ale oponuje przeciw mieszaniu się w wyroki boskie, bo nasz Pan wie co czyni!

Wśród ogólnej ciszy wszyscy słuchali mądrych wywodów poważnego zbarańczyka i żaden głos mu nie przerwał a nawet gdy skończył przemawiać nadal grobowa cisza zaległa salę, bo wszyscy byli pod wrażeniem tej mowy.

Nagle uczynił się hałas, odezwały się krzyki i jakoweś głosy i wszedł pacholik meldując Wołodjowskiemu, iż jakiś człek chce się z nim pilno rozmówić w ważnej sprawie.

Wódz rozkazał go puścić.

Na sali pojawił się wysoki chłop w kożuch u osumiastych jasnych wąsach,

— Pochwalony Jezus Chrystus odezwał się w progu.

— Na wieki wieków! — odpowiedziały głosy.

— Coś zacz? Czego żadasz zapytał Wołodjowski bystro patrząc na przybyłego.

— Jam jest poręcznik Soroka z obozu pułkownika Kmicica,

Przybywam z jego rozkazu do waszej miłości, z pokłonem, z wiadomościami i z listem.

W całej izbie jak zawrzało.

Wszyscy z miejsc powstali i otoczyli kołem wysłannika, pytając z zaciekawieniem:

— Co się z wami dzieje? Co z Kmicicem?

— Czy długo się bronić możecie?

— Dajcie mu choć gorzałki dla przepłukania gardła! — krzyknął Zagłoba.

Podano flaszkę z której Soroka nalał pełną szklanekę i duszkiem wypił, obłarł rękawem wąsiska, splunął w kąt a chrząknąwszy usiadł na stołku i rzekł: Najpierw przeczytajcie waszmościowie list pułkownika, a potem jak zajdzie potrzeba opowiem. To mówiąc podał list Wołodyjowskiemu, który przebiegłszy oczyma duży arkusz zaczął wśród ogólnego zaciekania czytać.

„Jak pewno wiecie z gazet — pisał Kmicic — jestem obłożon przez tych psubratów bolszewików w okolicy Mińska na ruinach starego zamczyska pamiętającego jeszcze nasze czasy, a z którego uczyniłem sobie grzeczną forteczkę.

Oprócz swoich pięciuset wyborowych ludzi, mam pod swoją komendą blisko półtora tysiąca dobrych pachołków różnych nacyj a w tem niemało żołnierzy i oficerów carskich, którzy biją się nieźle.

Kilka szturmów odparłem, kilka wycieczek szczęśliwych na obóz oblegających poprowadziłem, napsowawszy dość sukinsynów, ale do otwartej bitwy z nimi porwać się jeszcze nie mogę, bo mam za mało ludzi.

Gdy bowiem u mnie jest niespełna dwa tysiące szabel u nich przeszło dwadzieścia tysięcy a to samych kozaków z Budiennym dobrych pachołków do ośmiu tysięcy a reszta piechoty, artylerji, samolotów, kulomiotów saperów i czort wie jakich wojsk ponad dwanaście tysięcy, czyli razem dwadzieścia tysięcy tej chołoty, której przewodzi paskudny żydowin Leib Trockij ze swoim pachołkiem Budiennym.

Chcą mię ująć, nawet cenę nałożyli na mają głowę. Głupi,

Jak wiecie swego czasu Chowański także cenę nałożył na moją głowę i chciał mię nakryć swemi 80 sysiścami i nie nakrył. Nie nakryje mię też żydowin Trockij ze swemi 20 tysiącami.

Ale tu nie i dzie o mnie ani o moich ludzi bow razie ostatecznej biedy, przebiję się, poszarpię ich i ujdę, ale idzie mi najpierw o tutejszych ludzi, którzy do mnie przymknęli i grozi im zagłada, gdy my lada dzień odejdziemy w zaświaty a po wtóre chciałbym tych psubratów nie poszarpać, ale rozpedzić na cztery miatry a przez to odciążyć trochę granicę naszej Rzeczypospolitej i sprawić ukontentowanie naszemu Panu i niebieskiemu klucznikowi św. Piotrowi. Może ten biedny naród jakoś przetrze oczy, opatrzy się w broń.

Jak się dowiedziałem za trzy dni o północy, z soboty na niedzielę rozpocznie się generalny szturm na moją fortecę. Ja chcę w czasie tego szturmu podziemnymi pieczarami wypaść i sprawić im lepszą łaźnię, ale za mało mam ludzi. Gdybyś ty chciał mi pospieszyć ze swymi wzięlibyśmy tych psubratów we dwa ognie i może udałoby się nam ich pobić i rozpedzić, bo o lepszą okazją trudno.

Soroka was poprowadzi i cały plan mój przełoży. Przybycie Wasze oznajmijcie mi rakietami. W razie odmowy, sam uderzę.“

Gdy skończył Wołodyjowski czytanie, listu, powstało wśród zebranych rycerzy wielkie gaudium, odezwały się okrzyki: bij morduj psubratów, i słychać było trzaskanie mieczami.

Kto jest przeciwny tej wyprawie? zapytał Wołodyjowski, gdy się trochę uciszyło: Nikt nie jest przeciwny. „Wszyscy idziemy“ odezwały się groźne głosy.

Po krótkiej naradzie z Soroką wydał wódz rozkaz: O świtanu ściągniesz waść Nowowiejski z okolicy trzysta koni i ruszysz komunikiem ze Soroką wprost najkrótszą drogą. przecinać drogę druty, niszczyć tory, znosić bolszewickie posterunki i palić rządowe budynki lecz bez straty czasu, bo idzie o pośpiech.

Niedaleko, fortecy Kmiećca czekać na nas.

My zaś ruszymy waszym śladem przed południem po ściągnięciu ludzi.

Nowowiejski otrzymawszy rozkaz wypadł z izby a za nim rozbiegli się w różne strony gońce z rozkazami wodza do pochodu.

Długo w noc Wołodyjowski ze Skrzetuskim układali plan bitwy i pilnie studjowali mapy okolicy Mińska, pytając o rozkład wojsk Sorokę, który tymczasem czekał na Nowowiejskiego.



ROZDZIAŁ X.

Jeszcze mrok ziemię zasłaniał, gdy Nowowiejski z rozkazu wodza ruszył na czele trzystu ludzi ku granicy jako straż przednia mając przy boku Sorokę.

Jechali szparko, otuleni w krótkie barankowe kożuszki, z karabinami na ramionach i z długimi szablami przy boku.

Dzień wstawał szary, mglisty i lekki przymrozek spętał twardą skorupą ziemię, po której dzwoniły głucho jeno kopyta końskie.

Tu i ówdzie wychodzili z chałup ludzie, wielce dziwując się, że to jakoweś wojsko ledwie ukaże się, już znika w porannych mgłach, jakoby duchy.

Ani śpiewu nie słyszeć u nich wesołego, ani pogwaru wojennego. Cały oddział jechał w milczeniu, szepcząc jeno poranne pacierze.

W dziwnym pośpiechu przemykali się przez wioski i lasy tak, iż ledwie ich oko mogło przełotnie ujrzeć.

Około południa stanęli nad granicą, której przejścia broniły z jednej strony uzbrojone straże polskie, z drugiej bolszewickie.

Po krótkim postoju w lesie poczęli zbliżać się ku słupom granicznym.

Drogę zastąpili im polscy strażnicy z wymierzonymi lufami karabinów wołając: stój!

— Na bok — krzyknął Nowowiejski dobywszy z pochwy miecza i nie zważając na wymierzone lufy karabinów wpadł przez linię graniczną.

Huknęły strzały, nie czyniąc nikomu szkody.

— Pastój! — zabrzmiał z drugiej strony okrzyk i znów posypały się gęsto kule bolszewickie.

— Bierz ich! — krzyknął Nowowiejski.

Zagończy porwali przerażonych objeszczyków i powiedli ich ze sobą.

Widzisz Sokoka, kule nie imają się nas mówił Nowowiejski, widać taka wola niebios. Teraz my swobodni i w nieprzyjacielskim już kraju więc możemy sobie pochulać, jak ongiś na Dzikich polach.

Pierwszy graniczny posterunek sowiecki podpalono. straż wymordowano i druty przecięto, prawie nie zatrzymując się.

Trzeba drogę znaczyć, jak nakazał dowódca — tłumaczył Nowowiejski. Znaczono więc ogniem i mieczem i posuwano się szybko w głąb kraju nieprzyjacielskiego, dążąc ciągle na północ w kierunku Mińska.

Nad wieczorem zaszedł im drogę oddział bolszewicki w sile około dwustu koni.

Przejechali mu po brzuchach, rozbili i roznieśli wprost na kopytach końskich bez zatrzymania się.

Po drodze puszczały z dymem rządowe budynki, wycinali w pień opierające się strażę i szli ciągle naprzód, znacząc drogę,

Około południa trzeciego dnia zapadli w lasy, gdzie już dochodził daleki grzmot armat bolszewickich, bijących w fortecę Kmicica.

Chwała Bogu już my daleko! tłumaczył Soroka. Jak się ściemni pomkniemy bliżej i puścimy rakiety, bo lada godzina nadciągnie za nami pułkownik.

W kilka godzin po wymarszu Nowowiejskiego ściągnął swe wojska Wołodyjowski pożegnał się serdecznie z gospodarzami, wypił strzemiennego i ruszył śladem swej straży przedniej.

Właśnie przy wyjeździe ze wsi dzwoniło na „Anioł Pański“. Zagończycy odkryli nabożnie głowy i zaintonowali chórem „Anioł Pański Zwiastował Pannie Marji i poczęła z Ducha Świętego“.

Konie parślały wesoło, co rycerze poczytali za dobrą wróżbę:

Jechali radośni, promienni z ochotą wielką i śpiewaniem jakoby na gody.

Zdawało się im, iż jadą hen gdzieś na ostatnie kresy Rzeczypospolitej jako rycerze Królowej Korony polskiej na niewiernych Bisurmanów:

Rad jestem wielce, mówił Zagłoba, iż na tych bezbożników bolszewików i ich sługi jedziemy, boć to gorsze od dzikich Tatarzynów, bo zawsze ci Tatarzynowie w swego Allacha wierzyli, a to tatałajstwo nawet Boga nie uznaje, bluźni Mu, pokłony Judaszowi oddaje, a do tego Rzeczypospolitą molestuje. Ale jak im damy łupnia pod Mińskiem, to raz na zawsze odejdzie ich ochota od napadów.

Ma rację ojciec — wtrącił Wołodyjowski — to na te napady najlepsze remedjum, bo się zło wyrwie z korzeniem, Oj puścimy puścimy nasze szable na karki tych prusaków aż wiódz nich lecieć będą — dokończył zacierając ręce z wielkiego ukontentowania.

Nasz Longins ze swoim zerwikapturem, i z moją szablą nie licząc Wołodyjowskiego, Skrzytuskich i Rocha, — stanie za tysiąc bolszewickich dowodził zagłoba.

Tylko pamiętaj waść Podbipięta i ty cny Rochu, synu Rocha, trzymajcie się mego boku i nie hamujcie mię, jak na widok tych skurczybyków wpadnę w ekstraordynaryjną pasję i sprawię, wśród nich rzeź.

Nie trzeba ich żałować, ale golić dokumentnie.

Już my to sobie wszyscy ślubowali. żeby ich wygolić z krete sem odparł słodki Podbipięta, boć to największe wrogi Pana Boga i Rzeczypospolitej,

Oj nie ta to Rzeczypospolita — co za naszych czasów bo inne w niej zwyczaje i obyczaje, inni ludzie inne rządy, brak majestatu królewskiego, brak władzy, brak wiary, aleć zawszeć to nasza miła Ojczyzna, dla której nie trzeba żałować ni krwi serdecznej, ni mienia — dowodził niezłomny rycerz Skrzytuski.

Wyznaję wam zacni towarzysze otwarcie, iż cieszę się tą wyprawą ale więcej się cieszę tem, że za kika dni opuścimy ten padół łez, bo z dzisiejszymi ludźmi, to ja nie mogłem ani żyć, ani się bić.

Choć ta Rzeczypospolita nam wielce droga i miła, ale ci ludzie tak nam jakoś obcy nawet ich język jakiś dziwny, że my wszyscy nie czujemy się swojsko i — u siebie, lecz jakoby na obczyźnie.

Nie dziwota! — odparł Wołodujowski, — toć przeszło 250 lat minęło i tempora mutantur, a choć dla nas w wieczności jestto mgnienie oka dla nich żywych pokoleń wieki całe.

Takie rozhowory prowadząc jechali dość szybko zbliżając się ku granicy.

Mrok zapadł, gdy znaleźli się w lasach niedaleko słupów granicznych, których z jednej i z drugiej strony pilnowało kilkadziesiąt strażników gorliwie obserwując pas graniczny.

Widać, że tędy przeszedł Nowowiejski, bo sterczą spalone zgłiszczka strażnicy bolszewickiej, — mówił Wołodujowski i bardzo się kręąc pachółkowie.

Na noc tu odpoczniesz trochę a nad ranem przejdziem granicę z wolą czy bez woli strażników naszych i bolszewickich.

Kilka wiorst od granicy zaległo obozem siedemset ludzi, paląc ognie i warząc strawę.

Nad ranem ruszyli ku granicy, Tak z polskiej jak i z bolszewickiej strony posypały się na nich gęste strzały, na które nasi zagończycy nawet nie wrócili uwagi jak się nie zwraca na brzęczenie muchy, bo już wiedzieli, że kule się ich nie imają i żadnej im szkody nie czynią.

Po przejściu granicy wysłał Wołodujowski forpocztę i jechał śmiało wypatrując po drodze nieprzyjaciół. Jechał tym samym traktem, co Nowowiejski i wszędzie znajdował ślady jego pochodu, t. j. popalone strażnice i strasznie pocięte trupy.

Znaczył nam drogę — mówił do swego otoczenia — tak, że dla nas już nic nie zostanie do roboty.

Ale mylił, się bo kilka mil, od granicy jakiś pułk krasnoarmiejców zaszedł im drogę wysłany widocznie przez Budienego.

Był to pułk kozacki w sile około tysiąca ludzi.

Mały rycerz na ten widok aż odetchnął, poruszył złotymi wąsikami i przypuściwszy ich na sto kroków zakomenderował cel! pal!

Posypały się gęsto strzały i kilkudziesięciu kozaków zsunęło się z koni, ale zamiast uciekać w odpowiedzi przyłożyli broń do skroni i na strzały odpowiedzieli strzałami.

Gdy jednak od ich strzałów ani jeden mąż nie spadł z konia, zmieszali się i stropili się bardzo, nie wiedząc czy ucieczką

salwować swe życie, czy we wstępnym boju szukać zwycięstwa.

Zanim się opamiętali, już na nich runęła ława mężów i koni z Wołodyjowskim i Podbipiętą na czele.

Rozpoczęła się walka na białą broń, w której nie mogli kozacy nawet oporu stawić takim mistrzom jak nasi rycerze.

Wołodyjowski z bliźniakami, Podbipiętą, Skrzetuskim i Rochem w pierwszym szeregu a dalej nieco z tyłu Zagłoba, mając pod opieką panią Barbarę gdy runęli na kozaków taki wprowadzili zamęt, i rzeź w ich szeregach, że ci potracili głowy i napróżno starali się wycofać z pola walki.

Szał bojowy owładnął rycerzami zwłaszcza Podbipiętą, który ze swoim zerwikapturem wdarł się do środka i chłastał na prawo i lewo głowy ludzkie jakby kapuściane, Wołodyjowski zaś swoim zwyczajem śmigał nieznacznie szabelką, dając lekcje swym synom i uważając na nich, czy któremu nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Ale bardzo krótko trwały te zapasy, bo kozacy zaraz szpetnie tyłem się odwrócili do naszych rycerzy, w ucieczce szukając ocalenia.

Nie ocaliło to ich jednak od pogromu, bo otoczeni, wycięci zostali bez litości.

Jeńców nie brano, pardonu nie dawano.

Po wycięciu w pień Kozaków, ruszył cały oddział już bez przeszkody w pośpiechu wielkim.

— Trochę my się ruszali i zagrzali, zmagając się z tymi psubratami — mówili zagończycy, — ale to siła mała, podjazd mizerny.

Daj Bóg, aby przyszło do poważniejszej rozprawy, abyśmy sobie przypomnieli nasze harce z niewiernymi Aisurmamy!

Żołnierze to byli z krwi i kości, niegdyś tylko wojną i z wojną żyjący, którzy całe swe życie w bojach strawili, starym teraz przez Wołodyjowskiego dobrani, także, jeden mógł śmiało stanąć przeciw dziesięciu dzisiejszym wybiórkom bolszewickim, pędzonym do walki rewolwerami komisarzy.

Zawsze uderzyli z furją na kilkakroć liczniejszego nieprzyjaciela za nic sobie mając walczyć z równymi siłami; uderzą i dziś w półtora czy tysiąc choćby na dwudziestotysięczną armię.

O tem wiedział Wołodyjowski i był pewny zwycięstwa.

Trzeciego dnia nad wieczorem przybyli bez żadnych już walk pod Mińsk i połączyli się przednią strażą Nowowiejskiego Artylerja bolszewicka wciąż biła.

Wśród lasów rozłożyli się obozem i puścili rakiety, na które odpowiedział Kmicic ze swojej fortecy.

W niespełna dwie godziny zjawił się ze swoją watahą w obozie Wołodyjowskiego.

Trzystu ludzi mówił — zostawiłem na obronę fortecy a przeszło półtora tysiąca oddaję ci pod komendę. O północy jak pisałem — generalny szturm, którego moi ludzie pierwszy impet wytrzymają i powstrzymają jakiś czas bolszewików a gdy będzie zbyt gorąco wyjdą pieczarami i uderzą na tyły.

Według planu Kmicic miał uderzyć na Kozaków Budienego z tysiącem ludzi, Wołodyjowski z drugim tysiącem z boków na piechotę a reszta w odwodzie.

Ze względu na to, że Wołodyjowski chciał koniecznie wziąć osobiście udział w bitwie ze swymi bliźniakami, oddał dowództwo Skrzetuskiemu, powierzwszy mu pod opiekę żonę i starego Zagłobę.

Ręka świerzbi, ale oczy po nocy już nie dopisują, więc wolę być z Janem, który posłucha moich rad i nie jest tak zapalczywy jak Michał — tłumaczył się Zagłoba.

Cierpliwie więc czekali północy, opowiadaniem skracając sobie czas.

O północy zaczęły bić wszystkie armaty na nieszczęsną fortecę z ukrytymi trzystu w niej ludźmi.

Rozpętał się prawdziwie huraganowy ogień z dział, który deszczem granatów zasypywał zwaliska i zapierał wszelką drogę do odwrotu. Zdawało się, że ten ogień zniszczy, rozbije i rozniesie wszystko, że kamień na kamieniu nie zostanie a z ludzi miazgę uczyni.

Po trzech godzinach tego piekielnego bicia, poszła piechota z okrzykiem hurra! do ataku uzbrojona w granaty ręczne i karabiny.

Zagrzechotały dobrze ukryte kulomioty, i ręczne karabiny kładąc pokotem całe bolszewickie szeregi.

Po trupach pierwszych poszły do ataku dalsze i poczęły się już wdzierać na wały i zasieki poszarpane kulami bijących ciągle armat i zasypującym obok leżące zwaliska zaporowym ogniem,

Uczyniło się jasno od blasku granatów, jak w dzień i zdawało się, że nastał już dla obleżonej garści obrońców ostatni kres.

Wtem nagle ogień z dział bolszewickich poczyną ustawać i słyszeć się dają strzały gdzieś z przodu i z boków całej obleżnicznej armji i powstaje jakieś zamieszanie w szeregach wraży.

To Kmicic z Podbipiętą i Rochem runął na Budiennego a z boku napierał Wołodyjowski z tysiącem wybranych rycerzy.

Bolszewicy, którzy całą swoją uwagę i wszystkie siły łącznie z artylerją zwrócili na fortecę Kmicica, zobaczyli, że nagle sami zostali zaatakowani przez nieznanego wroga.

Artylerja przestała bić, bo dostał się do niej Wołodyjowski i zmusił ją do milczenia wysiekłszy artylerzystów. Równocześnie na stojącą w gotowości bojowej dywizję Kozaków Budiennego wpadł jak burza Kmicic a za nim Podbipięta z Rochem, z drugiej strony obozu szalał po swojemu Nowowiejski, tratując i siekąc oszalałych z trwogi krasnoarmiejców.

Głównowierch Leib Trockij stracił głowę i szukał kryjówek, gdzieby mógł ocalić swój nędzny żywot a atakująca piechota cofnęła się w rozsypce przerażona nie wiedząc co czynić i przeciw komu swe karabiny zwrócić.

Kmicic uderzywszy na kozaków Budiennego napotkał na silny opór. Wprawdzie pierwsze szeregi legły pokotem, jak łan zboża przed wichrem, ale następne wnet opatrzyły się i poczęły się bronić z początku odruchowo, później z coraz większą przytomnością, otoczywszy ze wszech stron garść junaków.

Jak zgłodniałe wilki napadną stado bydła i szarpia je, rozdzierają i wżerają się w środek, tak nasi zagońcy szarpali wokoło Kozaków.

Na olbrzymiej polanie leśnej toczyła się ta śmiertelna, nierówna walka, gdzie blisko dziesięć tysięcy jazdy broniło się rozpaczliwie przeciw tysiącu.

Sławny, niezwyczęzony siłacz w ręcznem spotkaniu Podbipięta na swym bojowym ogierze ze strasznym zerwikapturem w dłoni, mając z jednej strony Kmicica z drugiej Rocha, parł przed sobą całe szeregi, wycinał, gniółł, obalał, i tratował je jak robactwo,

Za tą straszną trójką mocarzy szło z rozmachem tysiąc mężów i tysiąc szabel błyskało, szerząc śmierć i zniszczenie.

Takiego natarcia nie wytrzymali Kozacy, wkrótce pod tym naporem pękły ich szeregi, skłębiły się i w trwodze wielkiej poczęły uciekać, obalając i gniotąc się nawzajem.

Napróżno wśród wiru walki szukał Kmicic Budiennego, nie było go, bo przezornie ukrył się z tyłu i pierwszy uciekł z pola bitwy.

Równocześnie trzystu obleżonych wypadło teraz śmiało ze swej fortecy i również wzięło udział w bitwie, spiesząc na pomoc Wołodyjowskiemu, który używał sobie obecnie za wszytkie czasy.

Jakaś straszna i niesamowita była to bitwa dla bolszewików, tocząca się przy blaskach księżyca w cieniach nocnych i z nieznanym wrogiem, o nadludzkiej sile, i nieczłowieczych rozmiarach.

Bitwą kierował jako wódz naczelny Skrzetuski wedle ułożonego poprzednio planu, z wielką bystrością i rozważą.

Po trzygodzinnej walce cała bolszewicka armja przestała istnieć, rozbita, rozprószona na cztery wiatry. Pierwszy uszedł w samochodzie głównowierch Leib Trockij a za nim Budienny z niedobitkami Kozaków.

O świtaniu docinano resztek.

Na placu leżało blisko osiem tysięcy ludzi, kilka tysięcy podało się a reszta uciekła.

Był to pogrom od roku 1920 największy dla bolszewików.

Rano zeszli się wszyscy wodzowie zagończyków na naradę.

Zrobiliśmy swoje, rozpoczął Wołodyjowski — a teraz czas nam opuścić tę ziemię i ruszyć tam skąd my przyszli,

Gdy wszyscy milczeli, odezwał się Kmicic:

Żał mi opuszczać tych półtora tysiąca ludzi, którzy zostaną sami, jako owce wśród wilków, bo bili się dobrze, ale może przy boskiej pomocy dadzą sobie radę, bo naznaczyłem im wodza, a sprzętu wojennego i broni zdobytej mają podostatkiem.

Około południa naznaczono wymarsz.

Z jednej strony stanęli zagończycy, z drugiej żołnierze Kmicica, którzy doń z różnych stron się zbiegli do walki z bolszewikami.

Towarzysze! — przemówił Kmicic, — musimy się rozstać. My odejdziemy, wy zostaniecie, aby dalej żyć w trudzie znoju i w walce. Brońcie się przed krwiożerczym wrogiem i módlcie

się do Boga, aby was nie karał za winy ojców. My wam za krzywdy ojców naszych dobrem odpłacili, i pomogli zwyciężyć odpłacajcie się i wy dobrem dla Rzeczypospolitej naszej.

Żegnajcie mi wierni towarzysze!

Na te słowa wyrwał się z ich piersi jeden wielki jęk rozpacz i błaganie:

Nie opuszczaj nas wodzu! Zostań z nami!

Czas, czas ruszać nam w drogę i pożegnać tę ziemię przerwał Wołodyjowski. To mówiąc ukląkł, odkrył nabożnie głowę a z nim całe wojsko, pocałował ze czcią ziemię i pocałował ze łzami w oczach głośno modlić się, wzniosłszy oczy do nieba.

Żegnaj nam Ty miła nasza Ojczyzno. Dla ciebie w każdej potrzebie, my Twoje dzieci z pomocą pospieszymy i o Tobie po wiek wieków nie zapomnimy.

Żegnaj nam ziemio rodzicielko, która żywisz wszelkie stworzenie.

Poczem szybko wsiedli na koń a w tejże chwili jakieś, ciemne chmury okryły ich i uniosły w przestworza.

I długo, długo było widać w obłokach jakichś rycerzy jakby zjawę odlatujących z nad kresów Rzeczypospolitej. —

K O N I E C.



„Drukarnia Kresowa“

TELEFON 7-40. 53-79.



PRZYJMUJĘDO WYKONANIA:
CZASOPISMA, DZIEŁA, TABE-
LE, AFISZE, ILUSTRACJE, TU-
DZIEŻ WSZELKIE DRUKI DLA
URZĘDÓW, TOWARZYSTW,
HANDLU I PRZEMYSŁU
PO CENACH NADER
UMIARKOWANYCH.



TELEFON 7-40. 53-79.

W E L W O W I E,

ULICA ZIMOROWICZA L. 14.

„Lwowski Kurjer Poranny“ jest jedynym w naszej dzielnicy wielkim organem niezależnej polskiej opinii publicznej.

W „Lwowskim Kurjerze Porannym“ współpracują wybitni politycy, uczeni i publicyści.

- Stale ukazuje się w Lwowskim Kurjerze Porannym osobny dział pod nazwą:

„Życie mieszczaństwa polskiego“

„Lwowski Kurjer Poranny“ zawiera tygodniowy dodatek p. t:

„Sprawy Akademickie“ redagowane przez przewodców Polskiej Młodzieży akademickiej.

„Lwowski Kurjer Poranny“ posiada oprócz tego tygodniowy dodatek ośmiostronicowy naukowo-literacki z specjalnym działem dla dzieci.

Nr. poniedziałkowy **„Lwowskiego Kurjera Porannego“** zawiera bogaty dział sportowy i powieść w formie książkowej.

Co tygodnia ukazuje się w **„Lwowskim Kurjerze Porannym“** urozmaicony dział rozrywkowy (szaradowy i szachowy).

„Lwowski Kurjer Poranny“ jest przytem wszystkim pismem najtańszem, w prenumeracie bowiem kosztuje **„Lwowski Kurjer Poranny“ 4.50** — z przesyłką pocztową zł. 5.

„Lwowski Kurjer Poranny“ nie jest imprezą prywatną ale własnością ideowego ogółu polskiego.

Czytajcie i popierajcie **„Lwowski Kurjer Poranny“**, rozpowszechniając go jak najszerzej.

Lwów, ul. Zimorowicza 14.

Telefon Nr. 53-79 i 7-40.

Gordonja Reinhold Fhl.

30
Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 327177



000-327177-00-0